

Zeszyty Łukowieckie

Numer 16-17

Listopad 2015 rok

Gazeta informacyjna

Od Autora!

Zeszyty Nr 16 i 17 oddaję do druku w nadziei, że zainteresowanie nimi nie zmieni się i będzie równie duże, jak w przypadku Zeszytu Nr 15, którego nakład musiałem dodrukować. Moje rozważania zacznę od sprostowania błędów, jakie znalazły się w zeszycie Nr 15. Wszędzie tam, gdzie wpisane jest nazwisko „Bajorski”, powinno być „BOJARSKI”. W części Zeszytów poprawiłem błąd ręcznie, ale też spora ich ilość poszła do czytelników z błędem. Państwa Bojarskich bardzo przepraszam za pomyłkę. Drugi błąd, to przypisanie autorstwa kopii obrazu Matki Boskiej Kochawińskiej pani Marcie Polak-Burza, a tymczasem, jak mi wyjaśniła pani Marta, autorką kopii obrazu, znajdującego się w kościele w Osieku, jest jej mama – Maria Polak – żona komendanta Łukowca – Edwarda Polaka.

W Zeszycie Nr 15 str. 30 wspomniałem, że razem z rodziną Starkiewiczów ze wsi Zapust Lwowski (województwo tarnopolskie) uciekła do Łukowca rodzina Kalinków i że pani Kalinka pojechała z siostrą jeszcze raz po resztę pozostawionych rzeczy do swojej rodzinnej wsi, i kobiety nie powróciły. Zostały zamordowane przez Ukraińców. Dzieci wychowywali dziadkowie. Sprawa tej rodziny ma swój dalszy ciąg i wyjaśniła się w dość dziwnych okolicznościach. Dostałem skierowanie na badania krwi do laboratorium. Zrobiono mi je, a pod badaniami znalazłem podpis – Kalinka. Zapytałem o tę panią, odpowiedziano mi, że jest na urlopie. Po dwóch tygodniach zapytałem o nią ponownie. Była! Za chwilę z zaplecza wyszła pani Kalinka. Nie mogłem z emocji zdobyć się na jakikolwiek kuruazyjny wstęp.

Wypaliłem niemal od razu: Czy ma pani rodzinę w powiecie średzkim? Odpowiedziała „tak”. Czy kogoś z rodziny pani męża zabili Ukraińcy? Skinęła głową. Zaraz więc zadzwoniłem do syna, by przywiózł mi możliwie najszybciej kilka egzemplarzy numeru piętnastego Zeszytów Łukowieckich. Za kilkanaście minut był. Poprosiłem panią Kalinkę o przeczytanie krótkiego tekstu. Po chwili usłyszałem: „To się wszystko zgadza. To matka mojego teścia! A to się teść ucieszy i zdziwi! Jego bardzo interesują tamte czasy. Wręczyłem pani Kalince trzy egzemplarze Zeszytów, by przekazała teściowi i rodzinie. Na drugi dzień otrzymałem telefon: Jestem w Lubinie. Czytałem to... To o mojej mamie i cioci, które zginęły bez wieści. Czy mogłbym do pana przyjechać? Za pół godziny pan Mieczysław Kalinka siedzi u mnie w domu ze swoim synem i rozmawiamy. Opowiada: „Na Łukowcu mieliśmy krewnych. Mieszkaliśmy u babci Garboś Józefy a później u Sudoła Franciszka.

Zeszyt zawiera:

1. Od autora
2. Tekst prof. dr hab. Grzegorza Mazura z Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie Kiedy nadeszła „Burza” – Okręg ZWZ- AK Stanisławów.
3. Rozmowy o Łukowcu, wojnie i pierwszych latach pobytu na Ziemiach Zachodnich.
4. Zdjęcia listy i wspomnienia.
5. Bokinka Pańska – dokumenty z okresu wojny.
6. Dokumenty różne.
7. Idea powstania muzeum Łukowieckiego (muzeum nie z tej ziemi). (str. 28)

Obecnie mieszkam w Nowej Rudzie. Brat mieszkał w Środzie Śląskiej, ale już zmarł. Miałem też dwie siostry. A z Zosią Starkiewicz często bawiliśmy się, bo mieszkaliśmy po sąsiedzku – dom obok domu. Mówię: „To moja kuzynka, może pan do niej zadzwonić!”. Po chwili rozmawiają z Zosią i planują spotkanie. Wiem, że się na razie nie spotkali. Umieszczam też w końcu Zeszytów dwa dyplomy. Jeden Tośka Gajewskiego, za zdobycie wicemistrzostwa Polski w klasie 505 – jako załogant. Drugi mojego brata Wojciecha i Tośka za udział w zawodach żeglarskich i zajęcie II miejsca, to dla celów dowodowych. W Zeszytach Nr 16 i 17 prezentuję państwu kilkanaście rozmów, jakie przeprowadziłem bądź to z łukowiannami, bądź z ludźmi mieszkającymi na Łukowcu w latach 1943-1945. Kilka spraw wymaga jeszcze wyjaśnień. Ludzie z Łukowca wiedzą, że ksiądz Wanatowicz został proboszczem na Łukowcu w 1943 roku, po śmierci ks. Józefa Potrzebnickiego. Ksiądz Wanatowicz był związany z Łukowcem, gdyż miał tu rodzinę. Podobnie pracujący z nim ksiądz Galek, też miał krewnych w Łukowcu. Inna sprawa, pamiętam, że z 15 lat temu zastanawiałem się nad ilością rodzin z Łukowca zamieszkujących w Brunowie i wydawało mi się, że jest ich najwyżej połowa. Ostatnio jednak oświecił mnie pan Kazimierz Paczkowski, mówiąc że około 90 procent pierwotnych mieszkańców Brunowa to byli łukowianie i osoby, które schroniły się na Łukowcu, a tylko około 7-8 rodzin było z Brzozowic – miasteczka w województwie lwowskim niedaleko Bóbrki. Rodziny te dołączyły do transportu. Domów do zasiedlenia było w Brunowie siedemdziesiąt dwa lub siedemdziesiąt trzy. Pewne procesy wymiany ludności jednak zaszły.

Jeden z mieszkańców (pan Kuczyński) wżeniony w rodzinę Babulów mówi: „Babcia moja nazywała się Potocka, ale jej jakiś tam zameczek po wojnie bolszewickiej został po stronie rosyjskiej i komuniści go spalili”. Ktoś inny mówił, że pochodzi z Białorusi, jako Polak wyrwał się stamtąd po II wojnie światowej i wżenił w rodzinę Kuchtów. Gwoli ścisłości, rodzina Plichtów bardzo ciekawa. On Kaszub

(Polak), a jego żona to łukowianka wywieziona na roboty. Pracowała w rodzinie kaszubskiej jako pomoc w domu i gospodarstwie. Po śmierci żony gospodarz Kaszub zdecydował się na ożenek z Polką i przeniesienie z całą rodziną do Brunowa. Jakie to dziwne są ludzkie losy. Dziś Brunów jest wsią mocno rozbudowaną, ale jeszcze serce Łukowca tam bije. Podobnie wieś Jenkowiec w powiecie średzkim. Mój ojciec kiedyś mi powiedział, że łukowian tam jest stosunkowo mało, z kolei pani Malec opowiada, że pochodzi z Jenkowic i jednym tchnieniem wymienia mi ponad 20 nazwisk mieszkających tam łukowian. Ostatnio przyszedł do mnie do pracy młody człowiek – górnik o nazwisku Toton. Wywiązała się rozmowa i w końcu pytam go: Gdzie ty mieszkasz? On odpowiedział, że w Szklarach Dolnych. A ja mu na to: „Tam na kolonii Szklary mam rodzinę”. A on mówi: „Na Kolonii – panie Franku – to jest jedna rodzina. Oni wszyscy są tam spokrewnieni”. Nawet nie wie ten chłopak, jaką mi sprawił satysfakcję, mówiąc, że łukowianie, to jedna rodzina.

Opracowując Zeszyty nr 16 i 17 przyświecała mi myśl ukazania tej ogromnej „masy ludzkiej”, która schroniła się na Łukowcu. Nie zrobiłem w tym zakresie zbyt wielkiego kroku do przodu. Przybliżyłem, tak mi się przynajmniej wydaje, dzięki rozmowom z ludźmi, miejscowość Hrechorów, leżącą 4 km od Łukowca. Hrechorów to wieś mieszana ukraińsko-polska z tym, że Polacy stanowili tam jedną trzecią ludności, a Ukraińcy dwie trzecie. Właścicielem ziemskim był Polak – hrabia Rostworowski. We wsi nie było kościoła katolickiego, tylko greko-katolicki, a do kościoła katolickiego chodzili ludzie do Żurowa. Ponieważ przeprowadziłem z różnymi osobami ponad 20 rozmów, pragnę je po kolei przedstawić.

Jednak pierwszą pozycją, jaką przedstawiam w niniejszych Zeszytach, jest artykuł prof. dr hab. Grzegorza Mazura z Uniwersytetu Jagiellońskiego, na temat sytuacji Polaków w czasie II wojny światowej w województwach wschodnich: lwowskim, stanisławowskim i tarnopolskim.

Przedrukuję artykuł za zgodą Profesora. Dla nas łukowian jest to artykuł niezwykle.

Ukazuje sytuację na Kresach, w tym również sytuację w naszym województwie stanisławowskim. Są nazwiska dowódców AK i Samoobrony na Łukowcu. Autor dokonuje pewnej charakterystyki naszej Samoobrony, stwierdzając, że była to nasilniejsza baza w województwie stanisławowskim. Błąd w zasadzie tylko jeden. W grupie oficerów i podoficerów pomyłka w nazwisku – jest „Górka Wincenty”, a powinno być „Górak Wincenty”. Pan Górak był dowódcą oddziału „kosynierów” wyposażonego głównie w kosy, a później już w broń palną. Profesor nazywa też w swoim artykule Łukowiec Żurowski „Żurawskim”, choć ta nazwa wyszła całkowicie z obiegu i ludzie mają w dokumentach powpisywane Łukowiec Żurowski. Wydaje się, że pierwotnie mógł się Łukowiec nazywać Żurawski od miasteczka Żurawno. Podobnie jak Łukowiec Wiszniowski (Wiśniowski) miał nazwę od miejscowości Wiszniów. Wszystko to zostało poplątane przez fakt, że obok Łukowców była duża wioska Żurów i była ona gminą dla obu Łukowców. Był więc Łukowiec Żurowski w gminie Żurów a nie Łukowiec Żurawski w gminie Żurów. Musimy się trzymać nazwy Łukowiec Żurowski, bo tak ludzie mają w dowodach i dokumentach. Gdybyśmy to dzisiaj próbowali zmieniać, to nasi najstarsi żyjący jeszcze łukowianie złapali by się za głowy i powiedzieli, że urodzili się w Łukowcu Żurowskim i nigdy nie słyszeli o Żurawskim. A, że w niektórych dokumentach jest inaczej, to my możemy wiedzieć z czego to wynika.

Z Profesorem rozmawiałem dwa razy i wymieniliśmy korespondencję. Napisałem też o powodach mojej opieszałości (operacja oka). Ponieważ miałem aż trzy operacje, powiadomiłem go i o drugiej. Przed trzecią pomyślałem: Profesor może uwierzyć w jedną operację, no w dwie, ale w trzy, to się nie da. Może pomyśli, że coś kombinuję. Więc przyjąłem postawę, jak wydrukuję Zeszyty 16-17, wyślę Profesorowi i wyjaśnię wszystkie opóźnienia. W artykule Profesor wymienia nazwę wsi Mirtuki. O tej wsi mówił mi Piotr Król – Zastępca Komendanta Łukowca. Tam właśnie dostał przydział do Armii Krajowej i tam złożył przysięgę. A ja nigdy o niej ani

wcześniej, ani później nie słyszałem, a jednak taka wieś była, choć Piorun zniekształcił (spolszczył) nazwę mówiąc na nią Micciuki.

Profesor Mazur ukazuje złożoność polityczną, w jakiej znaleźli się Polacy. Pisz o działaniach obronnych w ramach Samoobrony i Armii Krajowej. Podaje liczby i wymienia fakty. Pisz, że 14 czerwca 1944 roku gen. Tadeusz Komorowski – dowódca Armii Krajowej w Polsce – meldował do Londynu, że z Małopolski Wschodniej uciekło już 300 tysięcy ludzi, w tym z samego Lwowa 45 tysięcy. Profesor powołuje się na dokumenty i literaturę; cytuje biuletyny z okresu wojny. Pisz, że w województwie stanisławowskim istniały trzy bazy partyzanckie; 48 pp (nasza baza w Łukowcach) 49 pp i 53 pp. Stwierdza, że na Łukowcu baza partyzancka była najsilniejsza i najlepiej uzbrojona. Wymienia dowództwo bazy i jednocześnie Samoobrony. Wymienia nazwisko kapitana Michała Wilczewskiego cichociemnego o pseudonimie Uszka. Inne nazwisko to kapitan Zdzisław Pacak-Kuźmirski, dowódca Inspektoratu Stryj, bezpośredni przełożony komendanta Łukowca. Obaj ci dowódcy pokazywali się na Łukowcu, a jeżeli chodzi o kapitana Wilczewskiego to on na Łukowcu jakiś czas przebywał i stąd też zabierał żołnierzy Armii Krajowej na niektóre akcje, jak choćby do Bitkowa. Pomimo że artykuł ten jest dość trudny, ze względu na dużą ilość informacji o całej Galicji Wschodniej, zmianach struktur w ramach organizacji a później reorganizacji Armii Krajowej. Realizacja wytycznych do akcji „Burza”, której celem jak pisze prof. Mazur, było zdobycie Lwowa. Artykuł w pewnym sensie wyróżnia Łukowiec i w jakimś sensie nobilituje go – choćby dlatego jest dla nas niezwykle cennym materiałem poznawczym.

W zmieniającej się stale rzeczywistości na Kresach – polityka niemiecka popierająca Ukraińców z czasem staje się wobec nich wroga. Dochodzi do starć pomiędzy Niemcami a Ukraińcami. Partyzantka rosyjska dobrze współpracuje z Polakami, naprawdę dobrze, ale tylko do momentu nadejścia frontu wschodniego. Potem zaczyna się likwidacja oddziałów Armii Krajowej i eksterminacja Polaków.

Kiedy nadeszła „Burza”

Grzegorz Mazur

OKRĘG ZAZ-AK STANISŁAWÓW • SZKIC DZIEJÓW (3)

W 1943 r., jeszcze w trakcie odbudowy po potężnej fali aresztowań Okręgu Stanisławów, przed jego dowództwem stanęły dwa niezmiennie istotne problemy. Pierwszym z nich był problem ukraiński – nacjonalistyczne ugrupowania ukraińskie zaczęły stanowić coraz większe zagrożenie dla zamieszkałej tam ludności polskiej, zaś drugim – przygotowanie i realizacja planu „Burza”. Koło Stanisławowa znajdował się przecież słynny Czarny Las, o którym badacz dziejów ukraińskiego nacjonalizmu Edward Prus pisał w sposób następujący:

Czarny Las przeszedł do upowskiej legendy. Tam znajdowała się centralna kwatera komendanta głównego UPA składająca się z zespołu przemysłnie wykonywanych bunkrów połączonych tajnymi, trudnymi do wykrycia labiryntami na kilku poziomach. Był tu szpital z bieżącą wodą wprost z górskiego, podziemnego strumienia. On też wypłukiwał odchody. (...) W Czarnym Lesie zgromadzały się siły kadrowe UPA pochodzące z dobrowolnego zaciągu, wypróbowani rezuni wierni bez reszty idealom ukraińskiego nacjonalizmu („Atamania UPA. Tragedia kresów”, W-wa 1988).

W tej samej książce podana jest, w ślad za źródłami niemieckimi, liczebność UPA na terenie Stanisławowskiego w maju 1944 r.: 29 tys. ludzi. Stanowiło to olbrzymie zagrożenie dla zamieszkującej ziemie województwa stanisławowskiego ludności polskiej. Liczne informacje o terrorze ukraińskim przyniosła prasa konspiracyjna. W wydawanym w Krakowie „Małopolskim Biuletynie Informacyjnym” (nr 36(80) z 26 września 1943 r.) znajdujemy wzmiankę: *W Małopolsce Wsch.(odniej) wśród nastrojów bardzo nieprzyjaznych wobec Polaków mnożą się przykłady nadsyłania Polakom masowo listów z pogrózkami, grożących śmiercią w wypadku pozostania w danej miejscowości (pow. stanisławowski). Z Zaleszczyk uchodzi polska ludność przestraszona napadami i groźbami, opuszczając swe zagrody udają się rolnicy do krewnych na zachód. Szeregu zamachów na pojedyncze osoby lub rodziny polskie dokonano w Kosmaczu, w Pistyniu, w Szeszorach, w Żabi, w Słobodzie Rongorskiej (pow. kołomyjski). W numerze 42 (86) z 7 listopada 1943 r. tego samego pisma czytamy: W pow. stryjskim w ostatnich 3 miesiącach naliczono 17 napadów na Polaków.*

W „Agencji Prasowej” wydawanej przez Biuro

Informacji i Propagandy (BIP) Komendy Głównej AK również możemy znaleźć wiele informacji na ten temat, między innymi w numerze 16 (209) z 20 kwietnia 1944 r. czytamy: *W pow. rohatyńskim bandy ukraińskie spaliły wieś Ludwikówkę, morując przy tym ok. 200 Polaków. We wsi Fradze zabili Ukraińcy 27 osób, w tym 2 księży z zakonu bernardynów. W Firlejowie zginęło ponad 70 osób. (...) W pow. stryjskim bandy spaliły osiedle Szerokie Pola, mordując 68 osób z wyrafinowanym okrucieństwem. W Welcimirzu zabito, również w bestialski sposób, 20 Polaków.*

Podobnie brzmiał komunikat w „Małopolskim Biuletynie Informacyjnym”, numer 15 (108) z 9 kwietnia 1944 r.: *Rebelia ukraińska w okresie z końcem marca przesunęła się z terenów przyfrontowych, wykazując największe nasilenie w pow. kałuskim, stanisławowskim, drohobyckim, stryjskim, a nawet samborskim. Wedle obliczeń do 10 III szacuje się liczbę Polaków zabitych na 8 tys. Ta ostatnia liczba – 8 tysięcy – dotyczy chyba tylko terenów Małopolski Wschodniej, nie obejmując Wołynia i Polesia.*

Rozwój nacjonalistycznego ruchu ukraińskiego nabrał takich rozmiarów, że zaczął stanowić nawet zagrożenie dla okupacyjnej władzy niemieckiej. Spowodowało to z kolei masowe represje w stosunku do ludności ukraińskiej. W „Agencji Prasowej”, numer 50 (192) z 15 grudnia 1943 r., znajdujemy informację: *W Stanisławowie Niemcy odkryli przygotowania do poważniejszego zamachu ukraińskiego przeciw Niemcom, znajdując jednocześnie przygotowane prowokacyjne materiały, które miały wykazać, że zamach był dziełem Polaków. Pociągnęło to za sobą duże aresztowania, starcie zbrojne i szereg publicznych egzekucji wykonanych na Ukraińcach w Stanisławowie, Drohobycz, Borszczowie i Czortkowie. Również w innych numerach „Agencji Prasowej” i „Małopolskiego Biuletynu Informacyjnego” ze stycznia i lutego 1944 r. znajdujemy wzmianki o ostrych pacyfikacjach niemieckich wymierzonych w ludność ukraińską, przez co ucichł nieco terror UPA w stosunku do Polaków. O tym, że oddziały UPA zaczęły atakować siły niemieckie, świadczy następująca informacja w „Agencji Prasowej”, w numerze 4 (197) z 26 stycznia 1944 r.: W związku z napadami band ukraińskich władze niemieckie wydały zarządzenie, że policja i SS na prowincji ma nosić rewolwery ukryte, a nie*

umieszczać ich na pasach. Coraz częściej bowiem zdarzają się wypadki, że grupy ukraińskie osaczają policjantów i SS-owców i odbierają im broń.

W tej sytuacji pod egidą Armii Krajowej zaczęła powstawać polska samoobrona. W latach 1942-1943 na terenach Inspektoratu Stryjskiego i Stanisławowskiego powstały bazy samoobrony, między innymi w następujących miejscowościach: Łukowiec Żurawski i Łukowiec Wiszniowski, Brzozdowce, Kremerówka, Krasna Góra, Karolówka, Bukaczowce, Nowosielce, Korczunek, Daszawa-Feliksówka, Chodowice, Miertuki, Ruda-Kochawina, Dunajec Polski, Antonówka, Pasieczna, Bitków, Słotwina, Rafajłowa, Dolina. Największa baza polskiej samoobrony zorganizowana była w miejscowości Łukowiec, jej dowódcą był Edward Polak, ps. „August”. Drugą pod względem wielkości bazą samoobrony był Korczunek Daszawski, gdzie samoobroną dowodzili: Jan Ożóg, ps. „Puszcza”, Kazimierz Sikora ps. „Sosna”, Bronisław Krzysiak, ps. „Lew”, Józef Burdzy, ps. „Tygrys”, a po jego zamordowaniu Józef Skrzypacz, ps. „Świt”. Trzecią dużą bazą samoobrony była wieś Feliksówka, gdzie dowódcą jej był Franciszek Rutyna, ps. „Lipa”. W Feliksówce mieściła się również AK-owska radiostacja nadawczo-odbiorcza, obsługiwana przez Jana Wójcika, ps. „Jan”. Te trzy samoobrony obejmowały swoim zasięgiem większość wymienionych wcześniej wsi.

Najtrudniej było zorganizować samoobronę we wsiach mieszanych, polsko-ukraińskich, gdzie – jak pisze w swej relacji uczestnik tych wydarzeń Aleksander Niementowski – obie strony wszystko o sobie wiedziały. W tym przypadku ludność polska przenosiła się do tych wsi, gdzie była już zorganizowana samoobrona.

Wspomnę tutaj o niektórych walkach stoczonych przez samoobronę. W lutym 1944 r. sotnia UPA ze wsi Sulatycze zaatakowała wieś Krychówkę, położoną w pobliżu Korczunka. Zamordowano kilkunastu Polaków, spalono wszystkie polskie zabudowania, zrabowano bydło i konie. W wyniku pościgu grupy ze składu samoobrony w Korczunku doszło do starcia, w którym zginęło lub zostało rannych kilkunastu Ukraińców oraz odbito część łupów.

W czerwcu 1944 r. grupa banderowców oraz wspierający ją własowcy zaatakowali wieś Dunajec Polski. Kierowana przez Tadeusza Steckiego, ps. „Dąb” samoobrona nie dała się zaskoczyć i po dwugodzinnej strzelaninie napastnicy wycofali się. Natomiast ludność polska ewakuowała się do Rudy-Kochawiny.

Powstanie samoobrony w wielu polskich wsiach Małopolski Wschodniej pozwoliło ocalić życie wielu tysiącom ludzi. W „Małopolskiej Agencji Prasowej”,

numer 27 z 20 lipca 1944 r., czytamy: *Na pewnego rodzaju uspokojenie wystąpień ukr.(aińskich) przeciw Polakom w Małop.(olsce) wsch.(odniej) wpłynęła polska samoobrona, akcja pacyfikacyjna przeprowadzana rzadziej przez Niemców, najczęściej przez Węgrów (wymierzona przeciw ludności ukraińskiej – rzyp. GM). Ukr.(aińcy) mogą dziś skutecznie napadać tylko na samotne osiedla i domy, tam, gdzie jest samoobrona, odpiera ona skutecznie dzikie napady rezunów (pow. żydaczowski, lwowski, jarosławski i okolice Doliny). Pojawiły się polskie oddziały odwetowe, które stosują nakaz opuszczenia danej miejscowości przez ludność ukr.(aińską), co robi duże wrażenie na rozwydrzonych prowokatorach.*

Niemniej jednak możliwości samoobrony były ograniczone, stąd też bardzo wielu Polaków, przerażonych wytworzoną sytuacją, zdecydowało się opuścić niebezpieczne tereny. W dniu 14 czerwca 1944 r. gen. Tadeusz Komorowski, dowódca Armii Krajowej, meldował do władz polskich w Londynie: *Z Małopolski Wschodniej uciekło już ok. 300 000 Polaków, w tym ze Lwowa 45 000. Odporność Polaków na agresję Ukraińców słabnie, zdenerwowanie brakiem środków obrony i brak wiary w jej skuteczność, stąd ucieczka bądź nawet wyczekiwanie wojsk sowieckich jako wybawców.* Jednak dla tych, którzy zdecydowali się trwać na rodzinnej ziemi, zorganizowanie samoobrony było niezbędnym warunkiem przeżycia.

Drugim – jak już wspomniałem – poważnym problemem była realizacja planu „Burza”. Gen. Komorowski wydał w dniu 20 listopada 1943 r. wytyczne do „Burzy” i komórki sztabowe różnych szczebli Armii Krajowej rozpoczęły prace nad przygotowaniem ich realizacji. Odpowiednie prace zaczęto prowadzić również w sztabach Obszaru Lwów i Okręgu Stanisławów. Przede wszystkim doszło do kolejnych zmian strukturalnych.

W marcu i kwietniu 1944 r. w wyniku ofensywy wojsk radzieckich spora część Inspektoratu Kołomyja (Obwody Kołomyja i Horodenka, liczące łącznie około 1500 ludzi) znalazła się na terenie zajętym przez te wojska. Jednocześnie w tym samym czasie do Okręgu Stanisławów przyłączono Inspektorat Drohobycz (Obwody Drohobycz i Sambor), wchodzący do tej pory w skład Okręgu Lwów. Na mocy rozkazu Komendy Obszaru z 30 czerwca 1944 r. Okręg Stanisławów został przekształcony w Podokręg o kryptonimie „Piasek”. Komendantem Podokręgu „Piasek” pozostał w dalszym ciągu kpt. W. Herman, natomiast jego zastępcą został dotychczasowy dowódca Inspektoratu Drohobycz mjr Władysław Mróz. W czerwcu 1944 r. siły Okręgu Stanisławów osiągnęły stan 7574 żołnierzy (stan na 1 czerwca 1944 r.).

Nie mamy pełnej orientacji co do ich uzbrojenia – wiemy jedynie, że 1 lutego 1944 r. było ono następujące: 1 ciężki karabin maszynowy, 3 ręczne karabiny maszynowe, 62 karabiny, 68 pistoletów, 9 pistoletów maszynowych, 1112 granatów. Nic więc dziwnego, że niektóre oddziały samoobrony uzbrojone były w kosy. W następnych miesiącach uzbrojenie poprawiło się, bowiem cały obszar otrzymał pewną ilość zrzutów (do 7 czerwca 1944 r. uzyskano z nich, między innymi 390 pistoletów maszynowych typu „Sten”, 40 karabinów maszynowych, 24 piaty, 323 pistolety, radiostacje i amunicje), z których część broni z trzech zrzutów trafiła do rąk żołnierzy Okręgu Stanisławów.

W ramach „Burzy” Okręg Stanisławów miał formować oddziały 11 Karpackiej Dywizji Piechoty AK. Dla wsparcia miejscowych oddziałów przerzucono do Inspektoratu Stryj około 100 żołnierzy AK ze Lwowa. Dowództwo 11 Dywizji objął kpt. Z Pacak-Kuźmiński. W jej skład miały wchodzić następujące jednostki odtwarzane w ramach „Burzy”: 48 pułk piechoty AK, 49 pułk piechoty AK i 53 pułk piechoty AK. Ich załączek stanowiły sformowane na terenie Okręgu oddziały partyzanckie. Według raportu z 29 maja 1944 r. były to następujące oddziały:

- dwa oddziały o nazwie 1/53 pp AK. Jeden z nich liczący 15 ludzi, operował w rejonie Drohobycz – Borysław, gdzie brał udział w akcjach odwetowych i w samoobronie polskich osiedli. Drugi stanowiła licząca 98 ludzi kompania, dobrze uzbrojona, operująca na południowy wschód od Stryja, w rejonie Lasy Daszawa – Morszyn, również uczestnicząca w samoobronie i w akcjach odwetowych;

- oddział o nazwie 2/53 pp. Był to słabo uzbrojony 23-osobowy pluton (brakowało 13 karabinów i broni maszynowej), operujący w Lesie Bilczewskim na północ od Stryja, uczestniczący w samoobronie i akcjach odwetowych;

- oddział o nazwie 3/53 pp. Był to pluton liczący 25 ludzi, słabo uzbrojonych, operował w rejonie Las Stebik – Gaje oraz Hołobutów między Stryjem, a Drohobyczem, uczestnicząc w samoobronie i akcjach odwetowych;

- oddział o nazwie 1/48 pp. Była to licząca około 100 ludzi, dobrze uzbrojona kompania, która prowadziła w Lasach Łukawiec na południe od Chodorowa małe akcje odwetowe;

- oddział o nazwie 1/49 pp. Była to kompania licząca około 160 ludzi, z których tylko połowa była uzbrojona, prowadząca samoobronę w okolicy Las Nadwórna – Bitków.

Ponadto w skład 48, 49 i 53 pp miały wejść oddziały samoobrony, prowadząc już konkretne działania

w ramach „Burzy”. Na razie istniejącą samoobronę zaliczono do poszczególnych pułków 11 Karpackiej DP AK. I tak silna baza samoobrony wokół wsi Łukowiec Żurawski i Łukowiec Wiszniowski (oraz kilku innych) zastała zaliczona do 48 pp AK, którego dowództwo objął Edward Polak, ps. „August”, zaś w dowództwie tej samoobrony i jednocześnie pułku znaleźli się: Piotr Król, ps. „Piorun”, Marian Burdzy, ps. „Orlik”, Andrzej Kosior, Maria Stępień, ps. „Maria”, Wincenty Górka, Stanisław Kućma, Jan Bał, ps. „Wąs”, Józef Cacaj, ks. Jerzy Wanatowicz, Władysław Kryciński, ps. „Władek”, Franciszek Drozd, ps. „Franek”, Kazimierz Sikora, ps. „Sosna”, Tadeusz Skowron, ps. „Tancerka”.

Z kolei 49 pp miał być formowany na terenie Inspektoratu Kołomyja, lecz wobec zajęcia już wiosną części jego terenów przez Armię Radziecką nie udało się tego w pełni zrealizować.

W marcu 1944 r. odbyła się koncentracja oddziałów AK w Majdanie Średnim, której celem była obrona miejscowych osiedli polskich przed nacjonalistami ukraińskimi, własowcami oraz grasującą policją niemiecką i ukraińską. Stoczono z nimi szereg walk, między innymi blokując i broniąc drogę prowadzącą od skrzyżowania dróg Kołomyja – Otynia – Stanisławów oraz Korszów – Nadwórna w kierunku Nadwórnej (w okolicy Sobótki Leśnej). Ten broniony odcinek drogi chronił duże kolonie polskie między innymi św. Stanisław i św. Józef.

Wreszcie w skład 53 pp AK miały wejść oddziały samoobrony oraz istniejące już zgrupowania AK w rejonie miejscowości: Stryj, Mirtuki, Słobódka, Bratkowce, Strzałków, Falisz, Morszyn, Skole, Lubienie, Duliby, Tuchola, Mikołajów, Rajłów. W dowództwie tego pułku znaleźli się: Bronisław Slipko, ps. „Konrad” (dowódca pułku), Franciszek Kulesza, ps. „Osa”, Marian Szalc, ps. „Koło”, Stanisław Strzép, ps. „Ryszard”, Franciszek Ruszała, ps. „Tygrys”, Helena Eksztejn, ps. „Eleonora”, ks. Wojciech Goleń, ps. „Kuba”, Stefan Mazepa, ps. „Oleś”, Jarosław Makłowicz, ps. „Sławek”, Józef Tomeczek, ps. „Tygrys”, Andrzej Obrzut, ps. „Gil”, Adam Ginda, ps. „Adam”, Kazimierz Jankowski, ps. „Romuch”, Franciszek Parafinowicz, ps. „Franek”, Leon Kuberski, ps. „Wiatr”, Maria Szulc, ps. „Marysia”, Feliks Garbara, ps. „Ryś”, Ludwik Urbański, ps. „Lutek”, Franciszek Surmacz.

Ponadto na terenie Okręgu Stanisławów działały (niewykluczone, że zostały one uwzględnione w przywoływanym już raporcie z dnia 29 V 1944 r.) następujące dwa oddziały partyzanckie:

- oddział dowodzony przez Janusza Rogalę, ps. „Soplica” (jego zastępcą był Adam Tarnawski, ps. „Tundra”), powstały we wrześniu 1943 r. na

bazie około 100-osobowej grupy partyzantów przeznaczonych ze Lwowa. Powszechnie określano go jako 40 pp AK. Operował w rejonie miejscowości: Korczunek, Daszawa, Feliksówka, Poddębina, Gelsendorf (była kolonia niemiecka, której niemiecką ludność przesiedlono w końcu 1941 r. do Niemiec, zaś jej miejsce zajęli Polacy oraz Gruzini, prawdopodobnie do obsługi miejscowych szybów gazowych), Chodowice, Kochawina, Ruda, Dunajec Polski, Antoniówka do połowy maja 1944 r.;

– oddział dowodzony przez cichociemnego kpt. Michała Wilczewskiego, ps. „Uszka”, który wymaszerował w dniu 24 czerwca 1944 r. z Korczunka do Bitkowa koło Nadwórnej w celu wsparcia tamtejszej samoobrony. Przymaszerował on około 140 km przez całkowicie opanowane przez Ukraińców obszary Czarnego Lasu, docierając w dniu 21 lipca 1944 r. do Bitkowa, pod którym stał się z Niemcami. Oddział ten liczył 37 żołnierzy. Wobec zbliżania się frontu, jego żołnierze zostali grupami przerzuceni do Lwowa, Stanisławowa lub w rejon Stryja.

Wracając jeszcze do oddziału dowodzonego przez Janusza Rogalę, trzeba wymienić – w ślad za relacją jednego z żołnierzy tego oddziału Aleksandra Niementowskiego – postawione przed nim zadania:

„– obrona ludności polskiej przed napadami band UPA,

– w zależności od oceny sytuacji i szans atakować opuszczające te tereny wojska niemieckie,

– nie dopuścić do zniszczenia szybów gazu ziemnego i rozdzielni (18 szybów i 2 rozdzielnie gazu)

– organizacja sabotażu kolejowego na linii Stryj – Chodorów, odcinek Stryj – Kochawina.”

Trzeba również wspomnieć o zorganizowanej samoobronie Bitkowa, którą dowodził Stanisław Kosiba, ps. „Chorąży”. W 1943 r. współdziałała ona z radzieckim zgrupowaniem partyzanckim dowodzonym przez gen. Sidora Kowpaka. Było to zresztą zgodne z ogólnym dążeniem kierownictwa Armii Krajowej na tym terenie do zorganizowania współdziałania. Należy – poruszając już ten problem – zacytować fragment rozkazu komendanta Okręgu kpt. Władysława Hermana z 3 kwietnia 1944 r.: *Starać się jak najszybciej nawiązać stosunki współpracy z partyzantami czerwonymi.*

Głównym zadaniem jakie postawiono przed oddziałami AK Obszaru Lwów do wykonania w

ramach „Burzy”, było zdobycie Lwowa. W zasadzie wszystkie plany operacyjne, które brały pod uwagę będące w dyspozycji siły i środki wszystkich trzech okręgów Obszaru Lwów, koncentrowały się na tym problemie. Dlatego też – wyszczególnione w raporcie z dnia 29 maja 1944 r. – oddziały Okręgu Stanisławów otrzymały do wykonania konkretne zadania, które jednak sprowadzały się do uderzenia na niemieckie straże tylne, a nie do zajęcia którejs z wybranych miejscowości. Były one następujące, dla istniejących już oddziałów partyzanckich:

– 53 pp AK – uderzenie na niemieckie straże tylne na kierunkach Stanisławów – Stryj, Chodorów – Mikołajów – Stryj, Stryj – Drohobycz;

– 48 pp AK – uderzenie na niemieckie straże tylne na kierunkach Rohatyn – Chodorów, Stanisławów – Kałusz i Halicz;

– 1/49 pp AK – uderzenie na niemieckie straże tylne na kierunkach Nadwórna – Stanisławów i Dolina.

Nie znany jest nam, niestety, ogólny, całościowy bilans walk oddziałów Armii Krajowej Okręgu Stanisławów w ramach „Burzy”. Wiadomo tylko, że doszło do szeregu starć. W trakcie jednego z nich, w sierpniu 1944 r. pod Siechowem, pluton z Korczunka dowodzony przez Kazimierza Sikorę, ps. „Sosna”, zlikwidował niemiecki tabor artyleryjski, liczący cztery lub sześć dział. W dniu 27 lipca 1944 r. wojska radzieckie zajęły Lwów i Stanisławów i w ten sposób zostaje zamknięty pewien ważny etap w życiu ludności polskiej dawnego województwa stanisławowskiego. Dowiadując się o internowaniu przez władze radzieckie lwowskich oddziałów AK, dowódcy miejscowych oddziałów nie ujawniają się. Nie oznacza to jednak, iż NKWD zostawia ich w spokoju. Rozpoczynają się liczne aresztowania. Między innymi w lutym 1945 r. zostaje aresztowany komendant Okręgu kpt. Władysław Herman (który później był świadkiem w procesie „szesnastu” w Moskwie). Przy próbie aresztowania popełniają samobójstwo M. Wilczewski i J. Tarnawska, wielu innych zostaje wywiezionych na Syberię, skąd wrócili do Polski w latach 1955-1956. Najważniejsze jednak jest – co należy z całą mocą podkreślić – że ludność polska tych ziem obfitą daniną krwi i ofiarnością udowodniła swoje przywiązanie do wolności i niepodległości, podjęła nigdy nie przerwana walkę z wrogiem. Obowiązkiem zaś naszym jest ocalić to od zapomnienia.

Niniejszy tekst został opracowany na podstawie nielicznych zachowanych dokumentów oraz relacji wielu uczestników wydarzeń. Autor chciałby w tym miejscu wszystkim serdecznie podziękować, zaś szczególnie wyrazi podziękowania za uwagi, sugestie i informacje chciałby złożyć Panom: Jerzemu Węgierskiemu, Adamowi Rubaszewskiemu, Kazimierzowi Biłejczukowi i Aleksandrowi Niementowskiemu. Jednocześnie wszystkich prosi o przysłanie uwag, sprostowań i uzupełnień gwozi uzyskania jak najbardziej pełnego obrazu walki tego tak mało pamiętanego już regionu.

Rozmowa telefoniczna z panią Kazimierą Ptak (z domu Pawlik)

Dziś pani Kazimiera Ptak mieszka we wsi Kruków powiat Świdnica.

W czasie wojny zamieszkiwały u Pawlików dwie rodziny: Uszczewscy (trzy osoby) i Sidorowie (cztery osoby). Obie te rodziny pochodziły z miasta Żurawna. Pani Kazimiera pamięta transport na Ziemie Zachodnie. Opowiada: „W każdym wagonie umieszczano po 4 rodziny. Gdy rodziny były duże, wtedy mogły być trzy. W Toszku staliśmy długo. Mężczyźni zorientowali się, że w jednym z wagonów stojących na stacji jest paliwo. Przynieśli jakiś pojemnik i zaczęli dzielić się tym paliwem. W pewnym momencie paliwo zapaliło się, kilka osób zostało poparzonych. Od płonącego wagonu zapalił się drugi, gdzie były krowy. Niestety krowy, które były w tym wagonie, podusiły się. Była tam też nasza krowa i Józefa Burdzego, i także innych ludzi”. Pani Ptak mówi, że zawieźli ich do Nowogrodzca na Pomorzu, miejscowość: Polska Wieś. Tam też, jak pamięta, ukraść ktoś Józkowi Burdzemu konia. Większość ludzi się tam osiedliła, ale po pewnym czasie część rodzin postanowiła zawrócić na Śląsk. Między innymi Józef Burdzy i jej rodzina. Kilka rodzin osiedliło się w Łazanach, kilka w Krukowie, kilka jeszcze w innych wsiach, a Józef Burdzy w Mieczkowie. Wracając jeszcze do Łukowca, pani Kazimiera mówi: „Na Sybir z Bakocyna wywieźli dwie rodziny: Bładka Andrzeja i Antoniego Rębisza”. Pani Kazimiera uważa, że na Łukowcu uciekinierów było tyłu, ilu było mieszkańców wsi. Dodaje, że Łukowce przyjmowały wszystkich. Gdy ludzie osiedlili się na Łukowcu, to trochę się uspokajali. Byli mniej nerwowi. Wspomina też, że pewna grupa ludzi wyjechała na Zachód, nie z Chodorowa lecz z Kochiwany.

Rozmowa z panią Władysławą Kędzierską (z domu Rypniowska) z Hrehorowa

Umówiłem się z Panią Władysławą, że poprosi swoich znajomych i prześle mi informacje

o tym, kto z Hrehorowa przeniósł się na Łukowiec. W liście, który otrzymałem, pani Kędzierska pisze, że te osoby, na informacje których liczyła, niewiele pamiętają i żeby mi częściowo pomóc, sama sporządziła listę nazwisk rodzin niekompletną – ale zawsze coś to jest!

Na tej liście są następujące nazwiska:

Kobyłski

Lubiński

Andruszków

Przewięda Józef

Przewięda Ludwik

Koziół

Odnotować też trzeba, że jeżeli wydam ponownie nowe Zeszyty, poprawię w nich zapis wcześniejszy, dotyczący śmierci Michała Rypniowskiego (brata ojca pani Władysławy Kędzierskiej) w młynie w Nowosielskach koło stacji kolejowej Nowosielce - Żurawno.

Pani Kędzierska stwierdziła, że wieś Podmichałowce zamieszkiwali Ukraińcy i kilka rodzin mieszanых. Z jednej takiej mieszanej rodziny Ukraińcy zamordowali matkę, dwie córki i syna. Przeżyła tylko ta córka, która wyszła za Polaka o nazwisku Wiśniewski. Powiedziała mi też w formie ciekawostki, że moją mamę i jej siostrę Janinę (moją ciocię) poznała jeszcze przed wojną, podczas akcji zasadzania lasu. I już tylko dla przypomnienia: Mąż pani Kędzierskiej był oficerem AK, działał też na Łukowcu i dwa razy był zsyłany na Sybir.

Przekazała mi też, że największą aktywistką polską w Hrehorowie była pani o nazwisku Anna Mucha. Podczas wejścia Rosjan do wsi pani Anna została zaciągnięta do „czytelni” i chyba najbardziej została poszkodowana, gdyż jakiś Ukraińiec skoczył na nią z ławki gdy leżała pobita na podłodze. Rodzinę Muchów wywieźli Rosjanie na Sybir, a o pani Annie wszelki ślad zaginął. Przypuszczalnie zabili ją Ukraińcy jeszcze przed wywózką.

Ojciec Pani Kędzierskiej – Stanisław Rypniowski – był halerczykiem. Codziennie grywał na skrzypcach. Był w niewoli rosyjskiej i tam stracił zdrowie. Chorował na serce. Zdecydował

się na wykonywanie zawodu szewca, gdyż to umiał i praca ta, choć mozolna, nie była zbyt ciężka, dlatego mu to odpowiadało. Gdy zdecydował się na opuszczenie Hrehorowa i przeniesienie się w krakowskie, przyszedł do niego kolega z Łukowca – Stanisław Kućma i zachęcał do przeniesienia się do Łukowca. Ojciec bał się wart. Uważał, że nie podoła. Wyjechaliśmy do wsi Łuzna koło Gorlic. Tam znaleźliśmy schronienie i pomoc. Była to okolica zamieszkała przez Polaków. Pani Kędzierska, z domu Rypniowska, mówi: „Kędzierscy z nami Rypniowskimi byli daleko spokrewnieni. Było tam w rodzinie kilku chłopców. Ponieważ rodzina ta nie miała ojca, trochę lgnęli do nas. A moja mama ich lubiała. Kiedy więc Ludwika Kędzierskiego Rosjanie w 1945 roku zabrali drugi raz na Sybir, korespondowaliśmy z nim i przesyłaliśmy mu paczki. On był w Norylsku, tam gdzie pan Edward Polak. Obóz był bardzo duży i spotykali się rzadko. Gdy Kędzierski wrócił, przekazał informację, że za jakiś czas powinien wrócić i Polak. Tak, że z rodziną Polaków mieliśmy pewien kontakt. I jeszcze jedno wspomnienie, gdy w 1945 roku Ludwik Kędzierski został aresztowany, był przetrzymywany w więzieniu w Bukaczowcach, tam też był przetrzymywany i Polak. Edwarda Polaka odwiedziła matka i przywiozła mu paczkę. Siedziała na korytarzu więziennym i słyszała wiele krzyków dochodzących z cel i sal. W tym półmroku nagle jakieś drzwi się otworzyły i z pokoju czy celi wyrzucono coś na korytarz. To coś toczyło się po korytarzu i w końcu się zatrzymało. Strwożona kobieta podeszła do tego dziwnego „tobołu”, bo chciała wiedzieć, co to jest. Rozpoznała, w tej krwistej bryle człowieka, był to Ludwik Kędzierski. Pan Ludwik był uczniem szkoły wojskowej. W 1939 roku, po kampanii wrześniowej, w której brał udział, został zesłany na Sybir, aż za Ural. Udało mu się jednak stamtąd uciec. Po powrocie ukrywał się na Łukowcu u rodziny Tęczów. W utworzonej na Łukowcu Armii Krajowej działał jako oficer, między innymi szkolił żołnierzy. Po drugim powrocie z Syberii (koniec 1955 roku), Polacy z Hre-

horowa i Łukowca chcieli go koniecznie zobaczyć. Zapraszali do domów, do swoich wsi. Pierwsze wsie, które odwiedził to: Szczepanów, Domaszków, Księgienice, Słup.

Tu może jeszcze jedna ciekawa uwaga pani Kędzierskiej. Mówiła:

„Gdy Żyd przychodził do ojca, na ręce miał materiały różnego rodzaju, robił przymiarkę i za pare dni przynosił ubranie, czy inną rzecz, którą szył. Pani Kędzierska mówiła, że Żydzi byli biedni. Myślę, że to stwierdzenie jest dość ciekawe i zbliżone do opinii mojej mamy. A tak naprawdę, to mieli się oni różnie. Kiedyś rozmawiałem z moim kolegą Zbigniewem Kołodziejewskim o wszystkim. Weszliśmy w końcu na temat Żydów. Mówił mi, że handel to oni mieli opanowany całkowicie. Ja mu mówiłem, że tak znowu nie było. On jednak odpowiadał, że u nich, w Makowie Mazowieckim, to w rynku byli sami Żydzi. Wziętem książkę handlową II Rzeczypospolitej i wypisałem nazwiska handlarzy i sklepikarzy z Makowa Mazowieckiego. Na drugi dzień mu mówię: „Czytaj, to są handlarze z twojego miasta Makowa”. On czyta i się śmieje – a ja:” No mów! Żydzi to czy Polacy?”. On nadal się śmieje i mówi: „Franek to są wszyscy Żydzi, a ty wypisałeś tylko tych, co mieli polskie nazwiska” – Zbaraniałem.

Pani Stanisława Frącz z domu

Szot

Pani Frącz mieszka w Chocianowie. Ma świetną pamięć i także dość oryginalny stosunek do tego, co się w czasie wojny działo. Twierdzi na przykład, że sama wojna nie byłaby tak straszna, gdyby nie Ukraińcy. Front przeszedł i był spokój (tak się działo trzykrotnie). Natomiast zagrożenie ze strony Ukraińców było ciągłe. Masy ludzkie przetaczały się przez wieś, a łuny pożarów, były niemal co noc. I tylko ludzie powtarzali: Palą polskie domy w Okszesińcach, palą polskie domy w Kozarach. Palą Karolówkę, palą Słobodę. Pani Stanisława mówi, że jej wuj – Czuber Feliks był jednym z najbogatszych łukowian. Dopy-

tywałem się, na czym polegało to bogactwo. Odpowiedziała: „U wujka często odbywały się biesiady, na których niczego nie brakowało. Wujek miał dwa adaptery, w oknach story i firany. I dziś ludzie takich nie mają. Miał 6 krów, jałówki, konie i ogiera zarodowego. Łąki dla koni i krów były podzielone na kwatery. Rodzina Ignęła do niego, a on dość chętnie wszystkim pomagał. Z pierwszego małżeństwa miał syna, a z drugiego córkę. Kiedy miałam Pierwszą Komunię Świętą, tak się jakoś złożyło, że szła do komunii także jego córka i trzecia dziewczynka z jego rodziny. I właśnie u Cubera było przyjęcie komunijne. Pełno ludzi, prezenty w miarę równe. Byłyśmy wszystkie bardzo szczęśliwe”.

Pani Frącz mówi, że za bardzo nie wie, skąd się wziął taki duży majątek u wujka. Twierdzi, że czasem był to udany wyjazd do Ameryki, czasami dzieci dostawały po rodzicach spore majątki, a innym razem solidna praca dawała dobre efekty. Stosunkowo dostatnie życie zapewniały renty wojskowe, a także praca na państwowych stanowiskach policjanta, kolejarza, wójta czy leśniczego. Dobrze zarabiali sprawdzeni fachowcy: dobrzy stolarze, cieśle, młynarze, szewcy, kowale.

Pan Kazimiera nie chciała po wojnie żyć na wsi, jakoś żał jej było zwierząt domowych, które szły na sprzedaż i na rzeź. To ją bolało, gdy była małą dziewczynką i tkwiło w niej. Dlatego kiedy mogła wybrać wieś czy miasto – wskazała na miasteczko.

Najbardziej zadziwiający był dla niej teatr na Łukowcu, w którym grywano sztuki zarówno o tematyce religijnej jak i społecznej. Pamięta, że Hania Wilk, która była ładna i wysoka, zawsze grała Matkę Boską. Także jej siostra dużo grała. Pamięta Wojtkę Ślepokurę i jego skecze. Do dziś nie może zrozumieć, jak ci ludzie robili scenariusze, jak wykonywali efekty dźwiękowe. Blask wytworzony wokół Matki Boskiej do dziś jest dla niej zagadką.

Pan Franciszek Hawrysz

Swoją wieś opuścili w 1943 roku. Gdy sąsiadka Ukrainka powiedziała matce „Ha-

niu bierz dzieci i uciekajcie” Zrozumieli, że muszą opuścić Słobodę, bo grozi im śmierć. Słoboda była to kolonia Hrechorowa. Uciekli na Łukowiec. Zakwaterowano ich u rodziny Bzikotów. Wspomina uśmiech na twarzy Pana Bzikota, kiedy dawał im do dyspozycji pokój, których było w domu dwa i kuchnia, i jeszcze sieni, z której wchodziło się do obu pokoi. W jednym pokoju mieszkali Bzikotowie a w drugim Hawrysze. Obie rodziny były duże, jednak do żadnych spięć nie dochodziło. Gospodynie ustępowały sobie nawet kuchnie mówiąc: „Ty gotuj pierwsza – masz więcej małych dzieci”. Było nas ośmioro rodzice: Stefan i Anna oraz dzieci; Józef, Emilka, Antoni, Kazimiera, Adam. Na Łukowcu urodził się jeszcze w 1944 r. – Janek, a Marian na Ziemach Zachodnich w 1949 r. Pan Franciszek mówi: „Nasz najstarszy brat był trzy razy wywożony do Niemiec i zawsze wracał do domu. Gdy trzeci raz wyjeżdżał, z powodu przeładowania we Lwowie zaczęto ich pakować do tramwajów. Brata wepchnięto do kabiny motorniczego. Motorniczy zapytał czy ma jedzenie. Kiedy odpowiedział, że owszem ma, usłyszał: „Jedzenie mi zostaw, na zakręcie zwolnij, a ty wyskoczysz”. Na drugi dzień Józef jeszcze do domu nie wrócił a policja już była z zapytaniem, gdzie jest syn. „Zdziwieni odpowiadaliśmy, że pojechał na roboty do Niemiec. Wzieli ojca na przesłuchanie. Na szczęście wrócił.

Pan Franciszek podał jeszcze nazwiska innych rodzin, które schroniły się na Łukowcu;

Przewięda (3 osoby)

Żurowski (3 osoby)

Szmit (5 osób)

Bietka (4 osoby)

Hawrysz Kazimierz (6 osób)

Hawrysz Stefan (8 osób).

Najstarszy brat pana Franciszka został księdzem. Gdy w 1951 roku pan Franciszek skończył szkołę podstawową, postanowił iść do Liceum Ogólnokształcącego w Lubinie. Egzamin zdał, ale go nie przyjęto. Na interwencję u dyrektora szkoły. Ten odrzekł: „Co ja mogę – idźcie do Komitetu!”. Gdy tam poszli – ojciec usłyszał gorzki wyrzut:

„No tak, my będziemy panu dzieci kształcić a oni pójdą na księży!” – Nie było rady, drugi rok chodziłem do 7 klasy. W kolejnym roku szkolnym sytuacja jakoś się poprawiła i poszedłem do Ogólniaka.

Pan Franciszek Hawrysz zrobił pewną karierę. Był dyrektorem Liceum Medycznego, później przekształconego na Liceum Techniczne w Lubinie. Uzyskał także tytuł naukowy doktora, co w tamtym czasie było dużym osiągnięciem. Pan Franciszek mówi: „Poznaliśmy w czasie wojny Polaka z Wielkopolski. On był w wojsku niemieckim. Stacjonował w naszym rejonie. Gdy się dowiedział, że musieliśmy uciekać z Hrehorowa przyszedł i ofiarował się, że zorganizuje ochronę – żebyśmy najęli wozy, to pojedzie z nami do Hrehorowa na kolonie Słoboda, weźmie paru kolegów i pozabieramy to, co jest nasze”. Ojciec postanowił wykorzystać ten gest Polaka w mundurze niemieckim i zorganizował cztery wozy. Pojechały te wozy do Słobody i zostały załadowane zbożem, ziemniakami sianem i jeszcze snopkami z niewymłóconego zboża. Kiedy ruszyły w stronę Łukowca, nagle pojawiło się siedmiu ludzi z bronią. Szli w kierunku wyjeżdżających wozów – dwóch żołnierzy niemieckich było z tyłu, a dwóch Polaków w mundurach niemieckich szło na czele tych wyjeżdżających ze Słobody wozów. Gdy ludzie idący od strony Łukowca zbliżyli się na odległość kilkudziesięciu metrów – Polak w mundurze niemieckim krzyknął: „Stać – kto idzie? – Usłyszeli odpowiedź – partyzantka z Łukowca”. Wtedy ten Polak krzyknął: „Wszyscy stoją, a jeden niech podejdzie do okazania się” – W tym momencie cała siódmemka otworzyła ogień do transportu. Niemcy będący z tyłu podbiegli do przodu i też otworzyli ogień. Polacy, których było kilku przy koniach, poodpinali je. Po krótkiej strzelaninie Ukraińcy wycofali się, a na polu pozostało dwóch ciężko rannych Polaków. Jeden z nich po dotarciu do Łukowca zmarł. W wersji pana Franciszka, drugi Polak także zmarł. W wersji pana Kudłacza, drugi Polak był ciężko ranny, ale nie zmarł. W następnym dniu oddział niemiecki ruszył do Słodowy,

otoczyli przysiółek, w którym nie było żywej duszy. Dwa wozy – jeden z sianem, a drugi z niewymłóconym zbożem były spalone tak, że tylko rafki na koła sterczały. Wozy, na których było zboże i ziemniaki nie były spalone, więc przetransportowano je do Łukowca.

Pan Tadeusz Malec

Rodzina Pana Tadeusza Malca pochodzi z Łukowca Wiśniowskiego, osiedliła się w Lipnicy. Wieś była nieduża, ale zdecydowana większość ludzi to byli łukowianie. Na próbę założenia kołchozu mówiono stanowczo „Nie!” – Pomiędzy zdecydowanej postawy łukowian, zaczęto próbować wieś „rozmiękczać”, a gdy to nie dało żadnego rezultatu, padły ostre słowa w komitecie PZPR „PRZEKŁĘTA LIPNICA”. Pan Malec mówi: Chciałem się uczyć, po skończeniu szkoły podstawowej myślałem o nauce w liceum ogólnokształcącym. Ku mojemu zdziwieniu, zamiast komisji siedział pan Adamczyk, sekretarz partii z powiatu. Zadał mi tylko jedno nieskomplikowane pytanie: „Skąd ty jesteś?” – Na moją odpowiedź że z Lipnicy – pokazał mi drzwi i krzyknął: „Won stąd!” Tak praktycznie zakończyła się moja edukacja! Pan Adamczyk trząsł wtedy całym powiatem, ale w Lipnicy kołchozu nie założył!

Ojciec Pana Tadeusza był na Łukowcu tkaczem – miał też sporo narzędzi różnego typu. Gdy wyjeżdżali, zawołał pana Tadeusza i powiedział: „Patrz tu do stawku to wszystko wyrzucam. Było tych narzędzi dużo Ojciec trochę zabrał na Ziemie Odzyskane, lecz większość utopił. Dzisiaj zostało mi około 50–60 różnych rzeczy z Łukowca. Trzymam je, jak relikwie, ale chętnie przekazę do muzeum czy salki muzealnej prezentującej naszą wieś, jej kulturę, pomysłowość, wyroby, narzędzia pracy.

Pan Jan Kudłacz

Pochodzi z Hrehorowa. Żona z Łukowca z rodziny Kubalów. Pan Jan komplementował rodzinę Burdzych: „Wszystkich ich znałem. Mieli się chyba trochę lepiej niż inni”. Na moje wyjaśnienie, że to w przypadku mojego dziadka Karola mogło wynikać z faktu, że miał

rentę wojskową, zapytał: „A Marek Burdzy to pana krewny”? Gdy skinąłem głową, rzekł: „No widzi pan!”... Po chwili zapytał jeszcze, czy mam dom. Gdy odpowiedziałem, że owszem, ciągnął: „Pana drugi dziadek Faszynkieder, to już był pan”. Po takim wstępie usłyszałem: „W Hrechorowie nie było kościoła katolickiego, choć jedna trzecia ludzi, to byli katolicy. Mieliśmy tylko kościół greckokatolicki. Także hrabia Rostworowski, który miał tu majątek, był katolikiem.

Mówił też, że jego mama była działaczką społeczną. Postawiła sobie za cel wybudowanie na wsi „Domu polskiego”. Jeździła do Polaków: dziedziców, urzędników, księży i zbierała na ten „Dom” pieniądze. I z dobrym skutkiem, gdyż w latach trzydziestych „Dom Polski” stanął.

We wrześniu 1939 roku, gdy Rosjanie zajmowali Polskę od wschodu, Ukraińcy zaprosili a praktycznie to zaciągnęli kilkanaście osób narodowości polskiej do takiego „domu” (coś w rodzaju Domu Kultury), zwanego „Czytelnią”.

– Ojciec już się tam wybierał, ale sąsiad Ukrainiec mu odradził i ojciec praktycznie w ostatniej chwili wycofał się z tej wizyty w „Czytelni” – powiadał. – Gdy się tam Polacy znaleźli, Ukraińcy zaczęli ich bić. To trwało kilka godzin. Akurat nadeszli żołnierze rosyjscy, gdy wyprowadzono Polaków na zewnątrz i zarządzano ich rozstrzelania.

Rosyjski oficer zapytał: „Co to za ludzie?”. Padła wyjaśniająca odpowiedź: „To Polacy”. Oficer chwilę się zastanawiał i rozkazał: „Puścić ich do domów”. Pan Kudłacz konstatuje: „Tak chyba z połowa tych ludzi pojechała później na Sybir, ale w momencie wejścia Armii Czerwonej nic już im nie groziło”. Dalej pan Jan mówi: „Ojca zabrali na Sybir. Mama zdążyła mu wcisnąć bochenek chleba pod pachę, gdy go prowadzili, i tak go ostatni raz widzieliśmy. Tato poszedł do Armii Andersa i do Polski nie wrócił, bał się. Pod Monte Casino był. W bitwie brał udział, ale nie w walce, tylko wnosił amunicję i sprzęt na pozycje bojowe – coraz to wyżej. W 1943 roku wieczorem, zasypiałem już, a tu wchodzi sąsiada syn i krzy-

czy: „Już tu idą, za moment nie będziecie żyli – uciekajcie” (był to młody chłopak, którego ojciec lubiał i bardzo często gdy był dzieckiem częstował go miodem). Mama, która kręciła się przy domu, wystartowała w kukurydzę, a ja, w kałesonach i bez koszuli, wyskoczyłem przez okno, wskoczyłem na konia, obierając kierunek – Łukowiec! Siapał deszcz, jechałem na koniu, a drugi koń biegł za nami. Konie razem pracowały – były sprzężane i tak ten drugi zareagował – to jest dość typowe zachowanie. Gdy dojechałem do Łukowca, byłem zmarznięty i przemoczony. Zobaczyłem stóg słomy, zrobiłem w nim dziurę, wlałem do środka i natychmiast zasnąłem. W pewnym momencie czuję, że ktoś mnie budzi, to dziewczyna, podaje mi talerz gorącej zupy. Widzę i dziś tę gorącą zupę mleczną z kluskami i ziemniakami. Dziewczyna popatrzyła na mnie i odeszła. Za chwilę przyniosła mi koszulę. Wyszedłem z tej dziury. Ona znowu odeszła i za chwilę przyniosła mi spodnie, trochę podarte ale i tak byłem jej wdzięczny, że mnie jakoś przyodziła. Dziewczyna poinformowała mnie, że moja mama jest już na Łukowcu. Miałem broń, na warty Samoobrony chodziłem, ale do AK się nie zaciągnąłem – bałem się. Mama, ponieważ знаła całą okolicę, była często wzywana do komendanta Polaka, który prosił ją o potwierdzenie czy ludzie, których przybywało coraz więcej na Łukowce – to Polacy. Bali się, żeby UPA nie wprowadziła do wsi swoich agentów.

Pan Kudłacz wyjaśnił mi przyczynę zabicia przez Rosjan 14 ludzi na Łukowcu. Stwierdził, że powodem ataku Rosjan na Łukowiec był zabór soli Ukraincom przez Polaków. Dwa wozy ukraińskie jechały z solą przez Łukowiec. Ktoś z Polaków zatrzymał te wozy i ograbił, puszczając Ukraińców z niczym. Ukraińcy poskarżyli się Rosjanom, którzy w ramach odwetu ruszyli na Łukowiec, strzelając do wszystkich kogo zobaczyli (był to rok 1945), na dodatek jeszcze Samoobrona opuściła jeden czy dwa posterunki. Część ludzi, którzy powychodzili z domów, zaczęli się wycofywać. Rosjanie zaczęli do nich strzelać, zabijając 14 osób, w tym dzieci. Pan Kudłacz uważa,

że to była jakaś samowola. Młodzi chłopcy z bronią zachowywali się nieraz na zasadzie: „Pokażę ci, co to nie ja”. Trzeba było, jak mówi pan Kudłacz, dogadać się z Ukraińcami, wziąć im połowę soli i za nią zapłacić, a nie ich okradać. Niestety, ludzie na Łukowcu byli z popalonych wsi, ze zdziesiątkowanych rodzin, często rozumujący: „Oni nas okradli ze wszystkiego, więc dlaczego my mamy nie skorzystać z ich własności, gdy nadarzy się okazja”. Pan Kudłacz mówi: „Mama zorganizowała wyprawę do naszego domu, prosząc o pomoc Niemców, którzy wtedy stacjonowali na Łukowcu w szkole. Wyprawa doszła do skutku. Przywieziono zboże w dużej ilości i bardzo dużo zabitych kur i kaczek. Niemcy i Azerowie strzelali do nich z pistoletów i wrzucali na wozy. Chodzili z pistoletami w dłoniach i z wyciągniętej ręki strzelali do wszystkiego, co się na podwórku ruszało”.

Ponieważ obiecałem panu Kudłaczowi, że ponownie go odwiedzę, spotkaliśmy się drugi raz. Przyjechałem w towarzystwie pana Kazimierza Furtaka i pana Grzegorza Wosia. Gdy pan Grzegorz skojarzył, że chodził do szkoły z panią Cecylią Kudłacz, atmosfera zrobiła się bardzo rodzinna. Ja zapytałem pana Jana czy potwierdza to, co wcześniej powiedział, że jeden Ukrainiec z Hrehorowa brał udział w zamachu na ministra szkolnictwa Piernackiego. Potwierdził to i podał mi nawet jego nazwisko – Bułka. Wspomniał też, że kiedy znalazł się na Łukowcu – miał trzy konie. Przyszedł do niego sołtys Bal i powiedział, że jednego konia mam dać jednemu z Łukowian. Gdy zaprotestował – sołtys Bal powiedział: „Masz dać tego konia, bo on konia potrzebuje. Możesz zarządać coś tam za konia, ale to ma być za pół darmo. Drugiego konia możesz sprzedać. Trzeci może ci się przydać”. I tak zrobiłem. Poprosiłem gospodarza, żeby mi dał za tego pierwszego konia choć 200 kg zboża. On się zgodził i dobiliśmy targu. Drugiego konia zamieniłem za eleganckie ubranie. Człowiek o nazwisku Kruk, uciekinier na Łukowiec, pokazał mi cały zestaw eleganckich ubrań i powiedział:

„Dam ci ubranie, które tylko chcesz za konia”. Tak pozbyłem się drugiego konia.

Ubrałem się jednak wyjątkowo elegancko.

A o tym ubraniu, zaczęły krążyć legendy.

Pan Jan powiedział, że Łukowce to były wieś popierające Stronnictwo Ludowe. Odpowiedziałem mu, że o tym wiem. Na nas mówiono „brzuchacze” – gdyż ludność polska w naszej wsi była bardziej prawicowa.

Pan Kudłacz dodaje: „Ojciec miał ze 40 pni. Miodem handlował. Czy to, że lubiał częstować dzieci bez różnicy czy polskie, czy ukraińskie uratowało nam wtedy życie? – Dziś trudno powiedzieć”.

Jeszcze jedno stwierdzenie pana Jana zasługuje na uwagę. Powiedział: „Trochę tak było, przynajmniej u nas, że hrabia Rostworowski zatrudniał dużo chętniej Polaków niż Ukraińców”. Kiedyś poprosił go jakiś Polak z Hrehorowa o pomoc mieszkańcowi Łukowca – gwarantował za niego i prosił o jakieś wsparcie. Hrabia myślał i w końcu powiedział, że na nim spoczywa obowiązek kontroli lasu, który jest serwitutem – płaci 20 czy 30 zł, za coś w rodzaju pół etatu i może mu to dać. Gdy mruknąłem, że to chyba grosze, pan Kudłacz odparł: „Každy pieniądz, nawet taki, to było już coś”. Opowiadał, że zamek Rostworowskich był uszkodzony podczas I Wojny Światowej i Rostworowscy mieszkali obok w zabudowaniach okołodworskich. Wyglądało na to, że nie stać ich było na szybką jego odbudowę.

Wracając do słynnego ubrania pana Kudłacza, opowiada on: „To ubranie było szczęśliwie. Leżało na mnie jak ulał, podobałem się w nim wszystkim dziewczynom. Po wojnie aż pięciu chłopakom pożyczyłem je do ślubu i wszystkie te pary były szczęśliwe, aż w końcu mi je ktoś ukradł. Wydaje mi się, że cały Wichrów zna tę historię, gdyż pan Kudłacz często w rozmowach do tego ubrania wracał. Pan Jan i jego żona to ludzie niezwykli, bardzo lubiani nie tylko w Wichrowie ale i w okolicznych wioskach. Wszyscy ich tam znają. Pan Jan, choć ma 92 lata jest jeszcze aktywny – pełni funkcję kościelnego, a jego małżonka do niedawna okraszała uroczystości kościelne swoimi wierszami. Po przeczytaniu jednego z wierszy pani Cecyli zdziwił mnie wysoki poziom tego utworu. Ze względu na

ten poziom i na temat tego wiersza – tęsknota za Kresami – wrócę chętnie do twórczości pani Cecyli. Przyjrę się tym wierszom. Ponieważ moja siostra jest filologiem i dziennikarką, mam możliwość zasięgnięcia i jej opinii. Jak ci ludzie są szanowani i lubiani niech świadczy fakt, iż po śmierci pani Cecyli zadzwonił do mnie mieszkaniec Wichrowa i powiedział: „Pan Jan jest tak zdruzgotany śmiercią żony, że boimy się o jego zdrowie. Proszę do niego zadzwonić” On pana bardzo lubi”. – No oczywiście zadzwoniłem, przekazałem kondolencje – zaprosiłem do siebie na oglądanie pierwszych eksponatów z Łukowca, które zacząłem wtedy zbierać. A gdy powiedziałem mu o kilku możliwościach przyjazdu, wybrał opcję, że chciałby przyjechać z Markiem Burdzym. Marka o to poprosiłem i dwa tygodnie później odwiedzili mnie wraz z panem Kaliszem. Poprosiłem też na to spotkanie pana Kazimierza Paczkowskiego, z którym kolegowaliśmy się przed i w czasie wojny. Dopiero po tym spotkaniu pan Kazimierz Furtak uświadomił mi, że oni nie widzieli się aż 70 lat. Jeszcze jedna sprawa wywołała we mnie zdziwienie, a raczej może uśmiech na twarzy. Pan Kudłacz opowiadając o pewnym łukowianinie, stwierdził: „Wie pan on był taki trochę dziwny, żonie pomagał w kuchni, mył talerze..., to nas rówieśników śmieszyło. Wykonywał te roboty, które były dla kobiet”. Dziś to jest normalne, to nawet wzór. Ale wtedy było to śmieszne. W ustach 93 letniego mężczyzny, pamiętającego tamte czasy – ostry podział na prace kobiece i męskie – takie spostrzeżenie jest naprawdę bardzo ciekawe.

Pan Kazimierz Furtak

Zacząłem rozmawiać z panem Kazimierzem Furtakiem o schronach na Łukowcu. Powiedziałem, że u Krycińskiego był schron mogący pomieścić 40-50 osób. Nazywano ten schron „KOMORA”. Na co odpowiedział mi, że to możliwe, stwierdził, że i u nich w domu też mieli schron. Poprosiłem o informacje o nim, odparł: „Zwykły schron. Wchodziło się do niego w stajni, pod żłobem, była kłapa niewidoczna,

drewniana. Jak tam wchodziliśmy, to tato przykrywał wieko i rzucał jeszcze na tę kłapę trochę gnoju. Szliśmy wąskim korytarzem jakieś pięć metrów i znajdowaliśmy się już poza stajnią na ogrodzie. Tu było pomieszczenie z dwiema ławkami i stolikiem i tam siadaliśmy. Pomieszczenie było niezbyt duże, ale wystarczające dla całej rodziny. Ściany i sufit były z belek. Na suficie była warstwa słomy i gruba warstwa ziemi, tak, że można było nad tym schronem chodzić i nie czuło się, że tam pod spodem coś jest. Była też wentylacja. Schron był stosunkowo niski, tak że osoby dorosłe musiały tam chodzić lekko pochylone. Ojciec umieszczał w nim całą swoją rodzinę, a sam pozostawał na zewnątrz”. Zapytałem także o schrony pana Grzegorza Wosia – odparł, że był nakaz z AK, aby ludzie budowali schrony. W propagowaniu tej akcji uczestniczył ksiądz Wanatowicz. Schron, z którego korzystała nasza rodzina, był u Dudka. Budowało go kilka rodzin. Wejście było w pasiece, raczej przy pasiece, rosły tam rzędy jakby żywopłotów i dzięki temu wejście było całkowicie niewidoczne. Schron został wykonany wspólnie przez rodziny Dudków, Krawczyków, Góraków, Wosiów i Drozdów. Na pytanie: Ile tych schronów na Łukowcu mogło być? Odpowiedział: „Schrony były tak mniej więcej w co czwartym domu.” Zapytałem o schron pana Paczkowskiego i pana Szota i jeszcze trzecią i czwartą osobę. Z tych czterech osób aż trzy miały schrony. W jednym przypadku wchodziło się do schronu z psiej budy, w innym z warsztatu w jeszcze innym wejście było pod stogiem ze słomą. Pan Szot mówił, że obok nich był schron obronny dla kilku rodzin. U nas był niewielki schron, wchodziło się do niego z izby. U Cubra też był schron – większy niż u nas.

Kazimierz Furtak, to działacz kresowy, wiceprezes Stowarzyszenia Bukaczowian (Bukaczowce miasteczko kilka kilometrów od Łukowca). Gdy kiedyś rozmawialiśmy o różnicach pomiędzy chłopami polskimi i ukraińskimi, to stwierdził, że żadnej różnicy nie było. Twierdził, że byli bogaci chłopci ukraińscy i byli też biedni, i tak samo było wśród Polaków.

W Kostomłotach u rodzin Brzuszków i Asyngierów.

Byłem stosunkowo krótko. Pan Brzuszek był niedysponowany, ale powiedział, że z moim ojcem chodził do szkoły w Łukowcu. Nie myślałem, że to taki wysoki mężczyzna. Wizyta nie udała się, gdyż chyba za dużo razy powiedziałem, że jestem trochę zawiedziony, tym, że w książce autorstwa uczniów gimnazjum z Kostomłot „Wspomnienia naszych dziadków” są błędy kardynalne. Jest kilka razy napisane, że Łukowce to małe wsie mające po 300 ludzi i tylko raz jest zapis, że wsie liczyły po 1500 osób każda. Niestety, takie pomyłki też się zdarzają, że coś, ktoś wpisze źle, i dalej się to ciągnie.

Spotkałem się z panem Tadeuszem Asyngierem

Wywarł na mnie bardzo dobre wrażenie. Powiedziałem, że przyjechałem zadać mu tylko jedno pytanie. Stwierdziłem, że trochę czytam tzw. „Literaturę kresową” i uważam, iż Czechów na Wołyniu nie mordowano. Tymczasem ostatnio spotkałem się z zapisem, że Ukraińcy mordowali Polaków, Żydów, Ormian, Rosjan, i Czechów. Co do tych pierwszych czterech nacji to prawda. Chciałem, aby jako mieszkaniec Wołynia ustosunkować się do problemu. Pan Tadeusz chwilę się zastanawiał i odrzekł: „Urodziłem się w Budkach Hubińskich na Wołyniu. Mieszkałem niedaleko Czarukowa na kolonii Anatolia. Na kolonii było 7 domów. Sześć rodzin to Czesi, a moja rodzina była polska. We wsi działała banda UPA – oni myśleli, że wszystkie siedem rodzin na kolonii to Czesi. Miałem na wsi trzech kolegów Ukraińców, z którymi chodziłem do szkoły i oni wiedzieli, że jestem Polakiem, ale mnie nie zdradzili. Mówił jeszcze, że jeden z dowódców bandy powiedział później, że gdyby wiedział, że Asyngier jest Polakiem, to by zginął. Odpowiadając na moje pytanie, Pan Tadeusz Asyngier potwierdził, że prawdą jest, że Czechów nie mordowano. Powiedział mi jeszcze, że pewna grupa Czechów przyjęła prawosławie i że to wiązało się z dodatkowym

przydziałem ziemi – hektara czy dwóch – przy zakupie i osiedlaniu się Czechów na Wołyniu w czasach rozbiorowych. Tego nigdy wcześniej nie słyszałem.

Wichrów – u pani Genowefy Ziobro

Przyjeli nas nadspodziewanie serdecznie. Pani Genowefa od razu wyjaśniła, że mieszkała obok mojego dziadka Antoniego Faszynkiedra. Pamiętała mamę, babcię, mamy brata – Ryszarda i Paranię ukraińską służącą. O Parani często wspominała nam mama, ale ja o jej istnieniu całkowicie zapomniałem. Odrzekłem tylko, że był u dziadków pies – duży czarny i nazywał się „Zbój”. Co pani Ziobro mi z uśmiechem potwierdziła. Pani Genowefa pochodzi z rodziny Kozłów, jej ojciec miał na imię Paweł. Na Łukowcu była z synem i zięciem w 2004 roku. Zostali tam przyjęci bardzo dobrze. Gospodarz Łemek, mieszkający na ich posesji, mówi i pisze dobrze po polsku. Była wymiana prezentów, łyzy i ziemia przywieziona z Łukowca, i wspomnienia z okresu wojny. Udało mi się wyjaśnić dzięki pani Ziobro niezrozumiałą dla mnie sprawę. Otóż mama opowiadała, że raz przyjechał do nich z frontu wschodniego Niemiec. Jechał na jakiś urlop na dwa tygodnie do domu w Niemczech, ale wysiadł na stacji Żurawno-Nowosielce i przyszedł w odwiedziny do Faszynkiedrów. Tu wojna, partyzantka a on idiota przyjeżdża w odwiedziny (piszę idiota, bo wychodzi na to, że ten Niemiec wogóle nie zdawał sobie sprawy, ani z sytuacji, ani z tego co się wokół niego dzieje). Wieczorem mój tato odwiedził mamę i mówił, że słyszał o Niemcu. Mama odpowiedziała: „Jak chcesz go zobaczyć, to wejdź. On jutro odjeżdża”. A tato na to: „Ten Niemiec nigdzie nie odjedzie. Nasze chłopaki zabiją go, już się szykują. Broń się przyda i mundur też”. Pamiętam, mama opowiadała tak: „Przyszedł, przywitał się, mówił, że jedzie do Niemiec, po drodze chciał odwiedzić. Poprosił o wodę do mycia. Jak to Niemiec, mył się bardzo dokładnie. Jadł kolację. Cieszył

się. Było to tym bardziej dziwne, że nikt u Faszynkiedrów nie znał języka niemieckiego. Mama uczyła się jak wszyscy języka rosyjskiego, taki był zapis na świadectwach, język był tożsamy z ukraińskim. Mama znała dość dobrze tylko ukraiński. Mogła się też uczyć jeden rok niemieckiego w szkole średniej, ale na pewno tego języka nie znała. Może piąte przez dziesiąte. Jak to się skończyło? Następnego dnia ten Niemiec wstał i o jakiejś tam porze miał iść na stację i jechać do tych Niemiec. Więc mama z nim ruszyła i odprowadziła go aż do stacji Żurawno-Nowosielce. Chłopcy z Łukowca szli za nimi też aż do stacji. Jednak nie odważyli się zaatakować. Gdy to zacząłem pani Ziobro opowiadać, zaraz w kilku zdaniach wyjaśniła mi całą sytuację. Gdy Niemcy zaatakowały Związek Radziecki, jakiś ich oddział zatrzymał się na Łukowcu. Dowództwo niemieckie rozbiło namioty w sadzie obok naszych domów. Żołnierze postawili tam też kuchnię i gotowali obiady. Próbowali czerpać wodę z najbliższej studni. Ktoś im powiedział, że woda jest tam zła, a przy domach w studniach jest dobra. Ci kucharze, którzy przy tym dowództwie kręcili się, zaczęli po tę dobrą wodę przychodzić do Faszynkiedrów, Kozłów i Siekierskich. Niemcy podawali wiadra – jak mówi pani Ziobro – takie z uchem z boku. Polacy nabierali wodę i im oddawali pełne wiadra. Była to woda na herbatę. Przy tej okazji mógł jakiś Niemiec dać Polce czy Polakowi czekoladę, czy jakiś drobiazg. Mógł też Niemiec coś spróbować, jakiś owoc czy placek, ba nawet mógł wejść do domu. Mogło mu się też coś tam spodobać, nawet to, że ludzie są normalni. Moja siostra podpowiedziała mi, że jeden Niemiec przyszedł do babci z dużym kawałem mięsa i pytał, czy mogłaby mu to mięso przyrządzić. Babcia mu je upiekła, a była dobrą kucharką. Niemiec spróbował i był bardzo zadowolony, i jakąś część babci odkroił. Tak to wyjaśniła mi się sprawa wizyty tego młodego Niemca w czasie wojny u Faszynkiedrów. Konsekwentna postawa mamy: „Gość w domu Bóg w domu” – uratowała mu życie.

Pani Ziobro powiedziała też, że jej brat Marcin Kozioł pracował u Żyda Mośka na Łukowcu, w Zakładzie Wyrobów Alabastrowych. Żydowi się bardzo podobał i postanowił finansować jego naukę po szkole podstawowej z opcją, że ożeni się z jego córką. Brat zrobił dwie klasy szkoły ponadpodstawowej. Niestety, plany matrymonialne pokrzyżowała wojna.

U państwa Maciągów w Zabłociu

Na temat aktorstwa, sztuk teatralnych i jasełek na Łukowcu, to można by napisać doktorat. Rozmowa moja z panem Janem Krycińskim dotyczyła niezwykłych talentów ludzi z Łukowca. Było kilka zespołów muzycznych – ludzie grali na wielu instrumentach. Na wesela były zapraszane osoby, które bawiły towarzystwo swoim śpiewem. U Krycińskich pan Jan był takim utalentowanym weselnym śpiewakiem. Gdy zapytałem go, o utalentowane dziecko z ich rodziny, grające na wielu instrumentach usłyszałem: „Chłopca stawiało się na stole i dawało w rękę jakiś tam instrument i on grał”. – Zapytałem, jaki instrument – odpowiedział: „No, co tam pod ręką było”. A konkretnie jak instrument? Trąbka albo skrzypce albo akordeon. Stał na stole czy chodził po nim i grał”. – Umiejętność takiego wygrywania posiadał **Feliks Kryciński** już od najmłodszych lat.

Pan Grzegorz Woś

Łukowieccy ludzie byli bardzo zaradni. Pletli nie tylko kosze z wikliny, ale niektórzy również wyplatali walizki. Kilka takich pięknych walizek wiklinowych widziałem na własne oczy.

Obraczkę miedzianą czy srebrną ludzie umieli sobie sami wykonać. Gdy zaprotestowałem, Pan Grzegorz odparł: „I pan też by sobie taką obrączkę zrobił sam. To bardzo proste, jak się wie, jak to się robi, to już to nie jest skomplikowane. Raz popsujesz, dwa, a później jest to łatwe”. Poprosiłem o przepis na wykonanie takiej obrączki i oto on:

Pod monetę podkłada się podkładkę z otworem, może to być nawet nakrętka i wybija się w monecie otwór. Następnie otwór ten powiększa się nabijając monetę na grubszy wybijak i stopniowo powiększa się otwór do pożądanej wielkości. Miedź, mosiądz czy srebro są ciągliwe. Wyklepuje się też monetę na zewnątrz dookoła wybijaka (sworznia) i potem się to czyści, gładzi, można też profilować za pomocą nawet pilniczka i obraczka gotowa... W domach na Łukowcu okna z szybami to był standard. Większość tych okien wykonywali sami łukowianie. Aby uzyskać mniejszą przepuszczalność okien, konieczne były frezy – szyba wtedy była bardziej dopasowana i przepuszczała mniej zimna. Na ramy z desek nabijano cienkie listewki i uzyskiwano w ten sposób coś w rodzaju frezy.

Prezent od pani Danuty Rybotyckiej

Otrzymałem książkę od pani Danuty z dedykacją jej siostry – pani Izabeli Skrybant-Dziwiątkowskiej. Jest tam kilka ciekawych spostrzeżeń, nad którymi zastanawiałem się po przeczytaniu tej książki. Na przykład stwierdzenie, że: Nie wszyscy Niemcy byli źli i proste, i prawdziwe, i ważne. Przecież nie wszyscy Rosjanie byli źli, nawet nie wszyscy Ukraińcy byli źli. Franka Cebulę i Adama Burdzego pozbawili życia nie Ukraińcy czy Niemcy lecz NKWD.

Po wejściu Rosjan na Łukowiec, jak pisze w swojej książce pani Izabela, Rosjanie u nich w domu zrobili izbę przesłuchań i bili, a nawet torturowali ludzi. Gdy jeden z nich mruknął Panu Skrybantowi, że jutro on będzie przesłuchiwany, rodzice zdecydowali się na opuszczenie Łukowca i wyjazd do Drohobycza, dopiero stamtąd wyjechali na Śląsk. Pani Izabela pisze, że kiedy na Łukowcu spłonął ich dom, okazało się, że pod strzechą była ukryta duża ilość broni. To wszystko się rozrywało wybuchalo. Poinformowano naszych. Służba Bezpieczeństwa ze Środy Śląskiej natychmiast aresztowała ojca. Przez tydzień był przesłuchiwany i bity. Po powrocie do domu miał problemy emocjonalne i jakiś okres czasu potrzebował na dojście do normalności.

Artur Jarzynka mówi:

Jedna moja babcia pochodzi z Zaporozża. Niemcy przywieźli ją na roboty – tu koło Lubina, do wsi, która dziś nazywa się Pieszków. Babcia, choć pochodziła z Ukrainy, czuła się raczej Rosjanką. Ojciec jej był Gruzinem, a dziadek ze strony matki Polakiem. Niemiec traktował ją bardzo źle – bił ją i często kopał. Raz kiedyś tak ją pobił, że połamał jej palce u ręki. Uważała go za sadystę. Spała na strychu. Gdy Rosjanie zajęli ten teren, złapali go przywiązali grubymi łańcuchami do ciężarowego samochodu i tak ciągnęli aż skonał. Babcia wyszła za męża za Polaka, górala z Suchej Beskickiej, który po sąsiedzku pracował, też u Niemca i została w Polsce. Druga babcia pochodziła z Sinogóry, z Mazowsza. Też była na robotach w Prusach. Była traktowana bardzo dobrze. Pracowała w kuchni. Jadła z Niemcami. Oni ją po prostu polubili i bardzo szybko zaczęli traktować jak członka rodziny. Byli to bogaci chłopci. Gdy zdecydowali się na ucieczkę przed nadchodzącą armią radziecką, załadowali się na wozy i z dobytkiem ruszyli do Niemiec, zabierając i babcię. Tak, że dopiero z Niemiec babcia po wojnie wróciła do Polski. Dziadek Jarzynka również pochodził z Sinogóry i też był na robotach w Berlinie, on także twierdził, że było mu dobrze.

Morise

Gdy pracowałem w PeBeKa – kierowniczką naszego działu Pani Ewa Błędowska powiedziała kiedyś, że jej mamę wzięli na roboty do Niemiec, gdy miała 16 lat. Mama pochodziła z Sosnowca, nazywała się Teodozja Mucha. Pracowała w fabryce koło Jeleniej Góry dziś, ta miejscowość nazywa się Mysłakowice. Były tam jeszcze dwie dziewczyny Polki, w mamy wieku. Opiekował się nimi jeniec francuski o imieniu Morise. Ten Francuz pomagał im, pokazywał, jak mają wykonywać niektóre czynności i ich wspierał. Francuzcy jeńcy dzielili się też z Polkami prowiantem otrzymywanym z UNRY. Po wojnie Morise, orientując się w sytuacji jaka jest w Polsce, przysyłał jeszcze sporadycznie

paczki. Również po roku 1981, gdy sytuacja w Polsce była bardzo trudna, nie zapomniał o wspieraniu Polki i z większą częstotliwością przysyłał paczki bogate w prowiant.

Władysław Skowron

Pana Władysława odwiedzam co jakiś czas. Jego żona, która pochodziła z Karolowki zmarła i pan Władysław przeżywa trudne chwile. Pragnąłem, aby jeszcze coś powiedział o Oskresienicach. Pytałem, czy przywiózł coś tutaj czy ma jakieś rzeczy. Skierował mnie do starego domu, w którym mieszka syn. Niestety nic tam nie znaleźliśmy. Dowiedziałem się jednak, że jego rodzina była ulokowana na Łukowcu u Stadnika Władysława, że matka pana Stadnika była bardzo mądrą kobietą, i że mama moja raz do niej przyszła i powiedziała na nią „ciociu”. Mogliśmy być ze Stadnikami daleko spokrewnieni przez rodziny Januszków lub Ziemiańskich. Wstrząsnęło mną wspomnienie pana Skowrona o Bronku Wicheckim. Rodzina ta przeniosła się na Łukowiec. Chłopak miał 14 lat, coś tam przeskrobał i ojciec go zbił. Rozżalony chłopak w konsekwencji tego lania wrócił do Oskresienic. Ukraińcy go złapali, trzymali w stodole, a potem zrobili nad nim sąd i go zamordowali. Pan Władysław mówi że wie, że zaprowadzili go na ugór, w miejsce gdzie zakopywało się padłe zwierzęta i tam kosą poderznięli mu gardło. Pan Władysław to człowiek niezwykle ciepły i mądry. On jakby i dziś jest wdzięczny łukowianom za pomoc. Polskie domy w Oskresienicach Ukraińcy spalili. Zapytałem pana Władysława o broń po wojnie, odrzekł: „Kto chciał mieć broń, to ją miał. Tu tego pełno leżało, nawet z taśmami i kulami. Zdarzało się, że jakiegoś żołnierza pochowali tak płytko, że go oracz wyorał. I wtedy ciało przenosiło się na cmentarz i tam się go chowano”.

Władysław Szulc – mówi:

Mieszkaliśmy w Kozarach. (Polacy mówili Kozary, Ukraińcy – Kozara). Ojciec źle żył z Ukraincami. Jeszcze w 1942 roku było względnie spokojnie. Ja poszarpałem się

z jednym z ukraińskich chłopów i przylałem mu kijem przez twarz. Z tą pręgą chodził dwa czy trzy tygodnie i odwetu nie było. Obok mieszkał Polak i tam schodzili się do niego chłopcy polscy i ukraińscy, bo on mocno politykował. Słyszałem, że mówił: „Ukraina to będzie pod tym łopianem” i pokazywał na liście łopianu. W końcu zniknął. Miał żonę i dzieci, one zaczęły go szukać – chodziły po lasach i one też w końcu zniknęły. Wtedy Polacy zaczęli się bać. Ale jeszcze wtedy pamiętam chłopcy Polscy i Ukraińscy bawili się razem. Wiedzieliśmy, gdzie Dniestr jest płytszy i przeganialiśmy na drugą stronę krowy. Tam na drugiej stronie była piękna trawa i one się tam najadały. My zresztą też, bo na drugiej stronie było pełno malin. A te owoce takie grube (wujek pokazuje wielkość zbliżoną do orzecha włoskiego). Myśmy się najedli krowy, się najadały i wio z powrotem przez Dniestr – do domu”. Mówię, ale jak, przecież Dniestr to duża rzeka, mogliście się tam potopić? Odpowiada: „Nikt się nie utopił, gnaliśmy krowy w rzekę i trzymaliśmy się za krowie ogony. W 1943 roku tata już przebywał na Łukowcu. Pojawiał się czasem w domu, ale w nim nie spał. Spał na dużym drzewie, które było niedaleko naszej chaty. Był to duży i rozłożysty dąb. Jak Rosjanie weszli w 1944 r do nas, to po każdej ich potyczce w okolicy naszej wsi z bandami ojciec zawsze przychodził do domu na dwa dni. W końcu przyjechały wozy z Łukowca i zabrały rodzinę z dobytkiem. Potem tato zdecydował się na wyjazd z łukowianami na Zachód. Jeszcze tylko jedno dodam, Jakub Szulc – były wice-minister zdrowia polityk dolnośląski, to wnuk Juliana Szulca, brata Władysława.

Kalisz Marek z Wichrowa mówi:

„Moim dziadkiem był Józef Rębisz. Zginął po wojnie w Zabłociu. Podczas orki trafił na bombę. Po śmierci dziadka z babcią ożenił się jego brat Antoni. Też mówiłem na niego dziadku. Antoni miał przed wojną motor i był dość majątnym człowiekiem. Majątek przywiózł z Ameryki. Tam został potrącony

przez samochód, który był prowadzony przez jakiegoś przemysłowca. Ten człowiek okazał się na tyle uczciwy, że zorganizował mu bardzo dobrą opiekę lekarską i wypłacił bardzo dużą sumę pieniędzy tytułem zadośćuczynienia (dziadek Antoni lekko kulał do końca życia). Wrócił do Polski – postawił w Łukowcu dom. Dokupił ziemi, urządził gospodarstwo i ponieważ pieniędzy mu jeszcze zostało – kupił za resztę motor. W czasie wojny dziadek został wywieziony na Sybir z rodziną. Tam zmarła mu żona i dziecko. Był w drugiej Armii Wojska Polskiego”. Mój rozmowca mówił, że rodzina Kaliszów pochodziła ze wsi Pochorylce. Gdy Polacy zaczęli ze wsi uciekać, dziadek Kalisz też zaczął się zastanawiać nad swoim położeniem. Ukraińcy przychodzili do niego, do kuźni i mówili: „Ty se nie boj Kalisz, ty nam potrzebny (był jedynym kowalem na wsi)”. W końcu doszedł do wniosku, że nie ma co Ukraińcom ufać i wyjechał z rodziną na Śląsk.

W Domaszkowie

Odwiedziłem pana Bolesława Drozda. Powód prosty. Zadzwoił do mnie pan o nazwisku Sikorski z Wołowa i powiedział, że jego dziadek ma sztandar, jeszcze z jakimś panem ukryli go i zrobili jakieś postanowienie odnośnie jego losu. Tak tę rozmowę zrozumiałem. Pojechaliśmy do Domaszkowa z Kazimierzem Furtakiem. Nigdy wcześniej nie słyszałem o takiej wiosce. Nie myślałem, że i tam żyją łukowianie. Ktoś pokazuje mi obejście. Kazik Furtak zostaje przy samochodzie, a ja idę do domu i pukam do drzwi. Otwiera starsza pani. Mówię, że przyjechałem do pana Bolesława Drozda. Ona: „Nie znam, nie wpuszczam. Rano zresztą przyszli pod dom Cyganie, chcieli wejść, wmawiali, że zamówiliśmy jakieś swetry. Ledwie się ich pozbyliśmy. Mąż leży w łóżku i nie będzie chciał nawet wstać”. Takie dictum, podeszła jeszcze do nas jakaś młoda dziewczyna. Pytam, czy może córka? Słyszę: „Nie ta pani jest pracownicą opieki społecznej i nam tu pomaga. Przychodzi codziennie i robi zakupy, zawsze

coś posprząta”. Myślę, co tu począć, pytam gospodyni: „Pani z Łukowca?” Odpowiada, że nie... Dalej ciągnę: Niech pani powie mężowi, że przyjechał Burdzy – jak nie chce mnie widzieć – to odjeżdżam. Przychodzi za minutę może dwie i mówi: „Mąż powiedział, że jak Burdzy, to wstanie”. Myślę, jest dobrze. Mówię jest tu jeszcze ze mną pan Kazimierz Furtak, też z Łukowca. Pani wpuszcza nas do kuchni. Za chwilę witamy się z gospodarzem. Nie słyszy, jednak jak się bardzo głośno mówi, to reaguje. Pyta: „A pan od którego Burdzego?” Mówię, że ojciec Marian a dziadek Karol – kiwa głową, że wie i dopowiada: „Mam 96 lat, niedomagam, dokucza mi ogólny brak zdrowia i prostata, ale jeszcze jakoś ciągnę”. Gdy mu mówię, że jest trochę podobny do Wojtka Janusza – objaśnia, że to przecież jego kuzyn. O Zeszytach łukowieckich wie, nic jednak ze starych rzeczy już nie posiada. Sztandar, to z kolegą ufundowali i jest w szkole. W Domaszkowie było 4 lub 5 rodzin z Łukowca. Wieś sprawia wrażenie małej 20-30 domów, wokół lasy, bardzo ładny teren. Później dowiedziałem się od pani Kędzińskiej, że mieszka tam sporo mieszkańców i potomków mieszkanców Hrehorowa. Ludzie ci z łukowianami się znali, więc to nasi.

Pani Maria Supernat

Mieszka w Środzie Śląskiej. O aptekarzu Kroo mówi, że ludzie, którzy go odwiedzali po wojnie, zauważyli na poczesnym miejscu, w jego mieszkaniu w Jaworze, obraz Matki Boskiej. Zastanawiali się, czy zmienił on może wiarę, czy miał ten obraz ze względu na szacunek dla wiary katolickiej – gdyż ludzie, którzy go ukrywali na Łukowcu, wszyscy byli religijnymi katolikami. Bez względu na to czy był on katolikiem, czy nie – to piękna postawa. Pani Supernat mówi: „Uważam, że pewna dyskryminacja tych Ukraińców była. Trochę w szkołach, trochę przy parcelacjach, ale zgadza się ze stwierdzeniem, że powodów na takie bestialskie, masowe rzezie w czasie wojny nie było.

„Głowa”

Na Łukowcu Wiśniowskim „hołową” (po polsku – głową) była pani Katarzyna Szulak. „Głowa”, to przewodniczący Siel Rady. Rosjanie w każdej wsi powoływali taką radę. Te wyznaczone osoby musiały z Moskalami współpracować i często pomagały układać listy ludzi do wywozu na Sybir. Rosjanie powoływali na takie stanowiska komunistów i ludzi, którzy im pasowali, czasem też biednych – uzasadniali to tak: „On ciężko pracował – wie co to praca – teraz będzie dobrze rządził.” Polacy uważali, że za często tymi „głowami” byli Ukraińcy i Żydzi. We wsiach, gdzie byli sami Polacy, siłą rzeczy „głową” zostawał Polak. Na Łukowcu byli też ludzie o poglądach lewicowych, jednak takich ludzi było bardzo mało, a widząc co Rusczy robią, edukowali się w przyspieszonym tempie. Jak to się stało, że wybrali panią Szulakową, nie wiadomo. Po prostu musieli mieć „głowę” i padło na panią Katarzynę. Moja ciocia mówi: „Byliśmy wyznaczeni na Sybir, a pani Szulakowa do nas przychodziła kilka razy i mówiła: „Dzisiaj w nocy mogą po was przyjechać. W domu spać nie możecie”. Więc babcia, moja mama i ciocia spały, a to u rodziny, a to w kartoflisku przez 3 noce, a to w stogach. I udało się. Pradziadka Józefa Ziemiańskiego wraz z rodziną na Sybir zabrali z Wandoliny a Faszynkiedrów nie”. Ciocia mówi: „To dzięki Szulaczce rodzina ocalała”. Czapkę z głowy trzeba zdjąć przed tą panią i także przed Dziubą Władysławem – sekretarzem Gminy i Gancarzem Ludwikiem, który był przewodniczącym Siel Rady na Łukowcu Żurowskim. Oni wszystko robili, aby jak najmniej ludzi Rusczy na Sybir wywieźli. A na Sybir było skazanych kilka rodzin z Łukowca, między innymi rodzina Stępnów, bo Stępień był wójtem gminy Żurów i rodzina Starkiewiczów. Starkiewicz był na Łukowcu sołtysem. Choć z Łukowca ileś tam rodzin wywieziono na Sybir, to jednak, dzięki takim ludziom jak pani Katarzyna Szulak i pan Ludwik Gancarz oraz pan Władysław Dziuba, wsi nie zdzisiątkowano. A przecież w wielu wsiach i miasteczkach wywożono ludzi setkami. Potem, gdy Rosjanie gnali

Niemców i zajęli znowu nasze tereny, ponownie zabrali się za wykończenie dzieła. Wywozili już wtedy najwięcej oficerów i żołnierzy Armii Krajowej. Nawiązałem kontakt z synową pani Szulak, panią Józefą z domy Tęcza. Mówiła, że po wojnie teściowa napisała (podobno) list do Komitetu Centralnego z zapytaniem: Czy wieś musi się koniecznie zapisać do kołchozu? Odpowiedzieli, że nie. Taki papier z Komitetu Centralnego mógł skutecznie zablokować aspiracje lokalnych działaczy komunistycznych. Także wydała jakieś korzystne świadectwo Krycińskiemu, który robił bardzo szybko karierę wojskową. Pani Józefa Szulak – synowa pani Katarzyny przekazała mi swoje wspomnienia z okresu zasiedlania Ziemi Zachodnich. Praktycznie to jest walka młodej dziewczyny o wykształcenie – uwieńczona częściowym sukcesem. Spostrzeżenia autorki ciekawe, opisy trudnej pracy i asymilowanie się grup Polaków pochodzących z różnych stron. Różnice językowe. Szacunek do siebie i ciężka praca i pomimo wszystko wiara w lepszą przyszłość.

Przyrost naturalny

W końcowej części Zeszytów przedstawiam tabelę z bardzo prawdopodobnym stanem liczbowym mieszkańców Łukowca. Liczba początkowa oparta jest na Księżce adresowej polskiej wydanej w latach dwudziestych XX wieku – przy czym zakładam, że liczby podane w księżce adresowej dotyczą 1921 roku. Przyjąłem też wskaźnik wzrost ludności roczny na 1,6% – gdyż 1,5% jest wskaźnikiem wzrost ludności dla międzywojennej Polski. – Choć wydaje się, że na Łukowcu mógł on być jeszcze trochę wyższy (na wsiach jest zawsze wyższy niż w miastach). Tym niemniej można założyć, że przyrost naturalny Polski i Łukowca niewiele się różniły, gdyż urbanizacja w Polsce była w tym czasie stosunkowo niewielka. Przyrost naturalny to różnica pomiędzy liczbą urodzeń i zgonów dla danego państwa, miasta, województwa itp. I może on być liczony w jednym roku, w dziesięcioleciach, a nawet od wojny do wojny. Jeżeli na Łukowcach w jakimś roku mieszkało 2500 ludzi, a urodziło

się 85 dzieci i zmarło 45 osób, to przyrost wynosił 40 osób, a przy uwzględnieniu liczby ludności 2500 daje to wskaźnik przyrostu naturalnego 1,5%. Oczywiście mówimy tu o przyroście naturalnym nie o wzroście ludności, który uwzględnia oprócz przyrostu naturalnego także wyjazdy, emigracje czy osiedlania się ludzi z innych miejscowości w miejscowości badanej.

Spotkanie z marca 2015 roku w Lubinie

Pan Woś mówi: „Był monopol zapalczany i spirytusowy. Nie wolno było pędzić bimbru, za to były kary. Także nie wolno było korzystać z zapalniczek. Ludzie je mieli, ale oficjalnie za korzystanie z nich groziły dolegliwości. Dziś – jeżeli chodzi o monopol zapalczany – wydaje się to jakieś absurdalne”. Panowie Paczkowski i Szot, i Woś potwierdzają, że Bak Władysław był kowalem – artystą. On potrafił z żelaza zrobić niemal wszystko. Później rozmawiałem o tym z Tadeuszem Drozdem z Brunowa i powiedział: „Ojciec robił w polu wszystko, ale kuchnia i obrządek w gospodarstwie należały do mamy. Mama też zajmowała się krowami, kurami praniem, sprzątaniem, dziećmi – myślę, że więcej pracowała niż tato”. Odpowiedziałem: „Pamiętam, że i mój dziadek zajmował się tylko jednym zwierzęciem – koniem. Reszta zwierząt należała do babci. No jeszcze wyrzucał gnój spod krów”. Tadeusz mi mówi: „Ten Paczkowski Kazimierz to umiał wszystko: Malował dom i to zrobił porządek – zabijał świnie i robił wyroby pierwsza klasa. Do swojej pasieki, jak trzeba było, to dorabiał ule sam. Wykonywał wszystkie prace gospodarskie, takich ludzi było pełno. Odpowiedziałem, że mój dziadek nie brał się za takie rzeczy, jak świnioobicia czy roboty stolarskie. Choć wędził kielbasę, ale to była wtedy sprawa bardzo prozaiczna i myślę, że wszyscy to umieli.

Władysław Maślanka mówi:

Ojciec z Sybiru przyjechał w 1948 roku do wsi Chrostnik pod Lubinem. Domy były już

w dużym stopniu pozajnowane, ale z tych kilku, które były wolne, jeden wybrał a po sąsiedzku dom zajęła jego macocha. Mówi: „We wsi była taka hierarchia – najwyżej ceniono ludzi zza Buga i ich było najwięcej. Potem Łemków (było 9 rodzin) potem Górali 5 lub 6 rodzin, a na końcu ludzi z kieleckiego – 10 rodzin”. Zapytałem, dlaczego ci z kieleckiego byli na szarym końcu? Odparł: „Bo kradli”. Byłem tym trochę zde gustowany, bo moim pierwszym kierownikiem w pracy był pan o nazwisku Jan Sitarski. Też mieszkał w Chrostniku i on też mówił, że Łemkowie byli lepsi niż ci z kieleckiego. Zdziwiłem się, jak to wszystko było policzone. Dziadek mój, także bez trudu odpowiadał: Łukawski i Misa z Łukowca Kowal, Stępień, Sidor, Babuła z Łukowca a Szulc, Dziarski, Żak, Hetman, Gajewski, to na Łukowcu się chronili. Słyszałem kiedyś taką historyjkę, że w okolicach Legnicy jakiś góral odwiedził swoją rodzinę. Było gorąco poszedł się wykąpać nad staw. Tam przy stawie mieszkała rodzina zza Buga. Oni przywłaszczyli sobie stawek i nie pozwalali nikomu z niego korzystać. Chłopak nie wiedział, rozebrał się, wszedł do wody a oni do niego. Rodzina składała się z pięciu chłopaków oraz ojca i matki. Podtopili go i pobili. W konsekwencji tego zdarzenia chłopak niby odjechał do siebie, jednak postanowił, że im da nauczkę. Ojca pobił w polu i jednego z jego synów, innego przed samym domem złapał w sieć i skopał. Jeszcze innego gdzieś tam dorwał, jak wracał podchmielony z imprezy. Z wszystkimi się rozliczył. A ludziom z tej wsi zaimponował, gdyż uważali, że ta rodzina chociaż była z Kresów pozwalała sobie na na zbyt wiele.

Kazimierz Paczkowski mówi:

„Kiedyś przyjechała grupa aktywistów do wsi, do Brunowa i zaczęli łapać dziewczyny. Gdy się zrobił szum i ludzie stanęli w ich obronie, jeden z tych aktywistów powiedział: „Dwóch chłopaków niech jedzie z nami dla ochrony dziewczyn”. I pojechali, a te siedem dziewczyn zawieźli do kołchozu do Chrostnika i zmusili

do zbierania ziemniaków. Zbierały siedem dni. Miały tam jedzenie i dość dobre warunki socjalno – bytowe. Miały również dostać zaświadczenia o pracy, ale okazało się, że sołtysa nie ma. I tak wróciły po tych 7 dniach pracy do swojej wsi – do Brunowa.

Wracając jeszcze do Chrostnika – było tam jeszcze jakieś rodziny w kołchozie Polacy, Łemkowie a nawet jeden Grek. Po około 5 latach kołchoz upadł, a na jego miejscu powstało Kółko Rolnicze.

Furtak Kazimierz mówi:

Mieszkałem w Żabicach koło Chocianowa. Gdy w niedzielę graliśmy w piłkę, przyjechało kilku ludzi z naszej Spółdzielni Produkcyjnej i mówią: „Musicie pomóc”. Pojechaliśmy na pole i przez kilka godzin ładowaliśmy snopki zboża na wozy. Później odwieźli nas z powrotem na to miejsce, gdzie graliśmy w piłkę i część chłopaków dalej kopała piłkę, a część rozeszła się do domów.

Marek Marchewka mówi:

Gdy tato przyjechał do Brzegu Dolnego z rodzicami, obok mieszkała rodzina niemiecka. Po jakimś czasie Niemcy wyjechali. A po dwóch czy trzech miesiącach do Polski wróciła z tej niemieckiej rodziny dziewczyna. To moja mama – wyszła za mojego tatę. Zapytałem Marka: „Czy w takiej rodzinie jest jakaś trochę inna interpretacja historii?”. – Uśmiechnął się i powiedział: „No historia jest taka, jakiej ja się uczyłem i jakiej ty się uczyłeś – to tak było”. W Brzegu Dolnym mieszkał też pan o nazwisku **Jarosz Stanisław** – był w zakładach „Rokita” strażnikiem. Jego córka Teresa, dziś nazywa się Łozińska, powiedziała mi, że jak ojciec przyjechał spod Tarnowa, to zamiast wziąć porządny dom, których było pełno, wybrał, najgorszy, i powtarzał: „O ten dom to się nikt nie upomni”.

Przy drodze mieszkały Polki:

Niestety, nie kojarzę o jaką miejscowość chodzi, ale to było tu na Dolnym Śląsku. Wpadali tam często Rosjanie a to po wodę, a to chcieli wódki, a to coś kupić do jedzenia, ale jak im

się coś podobało to brali i nie pytali czy wolno. Dalej mieszkały dwie Niemki. Zdarzyło się, że te panie coś tam się bliżej poznały. I kiedy Niemki wyjeżdżały do Niemiec, przyniosły cały wielki kosz naczyń. Bardzo ładnych i nawet chyba cennych, i chciały tym Polkom je podarować. Polki odmówiły – stwierdziły, że tu przyjeżdżają Rosjanie – jak te naczynia zobaczą to je zabiorą i jeszcze mogą być jakieś kłopoty. Niemki poszły z tym koszem do lasu i zakopały go razem z jego zawartością.

Przed wojną Polacy jako naród zaczęli odkrywać uroki swojej ziemi – piękno bagien poleskich (Polesia czar) i góralszczyznę ze swoim folklorem a także może jeszcze bardziej huculską (szum Prutu i Czerechoszu). Najstojniejszym uzdrowiskiem w okresie międzywojennym w Polsce była nie Krynica czy Rabka, lecz Truskawiec – tutaj odpoczywała i leczyła się cała Warszawa. A w województwie lwowskim i stanisławowskim takich uzdrowisk było jeszcze wiele m.in. Jaremce, Worochta, Zaleszczyki, Morsztyn, Niemirów i inne.

Opowiadanie o dziwactwach sąsiada z Łukowca: „Stał kiedyś przy studni i nagle zniknął. Żona narobiła krzyku, ludzie się zlecieli – no utopił się – lamentowała. Nagle patrzą, podciąga się na łańcuchu i wyłazi ze studni. Innym razem zrobił ognisko na podwórku i pozbierał grabie, widły, cepy, łopaty i poupałał po troszkę wszystkie końcówki. Albo kazał się nosić dookoła domu w drewnianym klozie. Trzy razy go obnosili – ale po co, nikt nie wiedział. To był dobry gospodarz, nawet wyróżniający się. Ale i dziwak. Nie piszę tego po to, aby deprecjonować kogokolwiek, ale po to, by ukazać całą barwę zachowań ludzkich.

Pamiętam, kiedyś wracałem ze Starego Dworu na Wały, do domu, gdzie mieszkaliśmy. Zatrzymał mnie przy kapliczce gromki śmiech. Stałem i patrzyłem na gromadę starszych ode mnie chłopców. Grali za kaplicz-

ką na ogrodzie Watrasów w „puszkę” a przy tym zaśmiewali się po pachy. Gra ta polegała na tym, że na kamieniu, czy cegle kładło się puszkę na przykład po farbie. Sześć czy osiem metrów od tej puszkki robiło się linię za którą stali chłopcy z kijami, i starali się rzucić tak, aby puszkę strącić. Broniący puszkki chłopiec stał w pewnej odległości od niej i gdy ktoś ją kijem strącił miał za zadanie szybko puszkę postawić na cegłę, a następnie kijem dotknąć gracza i zwalić puszkę. Wtedy ten dotknięty (skuty) stawał przy puszcze. Zdarzało się, że on dotknął jakiegoś gracza ale inny gracz puszkę mu zwałił i wtedy nie było mowy o skuciu. Zdarzało się też, że nikt puszkki nie strącił i wszyscy gracze próbowali zabrać swoje kije i wrócić za linię. Było i tak, że na przykład drugi czy trzeci z rzucających kijem puszkę strącił i tylko dwóch czy trzech starało się kije zabrać. Wtedy pilnujący puszkki miał większą szansę kogoś skuć. Zdarzało się, że puszka leciała nieraz bardzo daleko od cegły i z zabranie kija nie było problemu. Gorzej było gdy, została ledwie strącona a broniący błyskawicznie podbiegł i postawił ją na cegle. Chociaż taka sytuacja kończyła się bardzo często skuciem, bywało, że z za lini ktoś rzucił kij, aby pomóc graczowi, a nawet mógł podbiec z kijem zza lini i zwalić puszkę. W sumie była to fajna i bardzo dynamiczna zabawa. Ja stałem przy płocie i tak kilka minut patrzyłem na tych starszych chłopaków. Było ich chyba sześciu lub siedmiu. Pamiętam, że wśród nich byli Staszek Martka i Kazik Watras. Ten, który najczęściej stał przy puszcze był jakby przegranym.

Nasza krowa

Dziadkowie mieli na Wałach dwie krowy, jałówkę i konia. Jedna z tych krów nazywała się Łaska i była z Łukowca. Nikt jej, nigdy nie uderzył, ze względu na to pochodzenie. Była jakby na prawach członka rodziny. Łaska była naprawdę bardzo spokojna. Jak się jej wydawało komedę, na przykład: „idź”, to się kij chowało pod pachę, a ją stukano się ręką, ewentualnie można ją było też tym kijem dotknąć, ale o uderzeniu

nie było mowy. Druga krowa nazywała się Łysa i ta czasem dostawała, głównie dlatego, że była narowista i ciągle coś kombinowała. A to złamała płot, a to poszła w szkodę, a to wsadziła głowę za płot i drągi od słupka do słupka – wyrwała. Raz nawet pocięła sobie wymioną na drucie kolczastym i weterynarz musiał jej jednego dojka zszywać. I miała jeszcze zasadniczą wadę – nie była z Łukowca.

Pamiętam, kiedy opowiadałem panu Tadeuszowi Malcowi o tej naszej krowie, on rzekł, że też miał taką krowę: „Była bardzo mądra. Gdy piła wodę a mucha, wpadła do wiaderka podniosła głowę i czekała aż tę muchę wyciągnę – dopiero wtedy dalej piła”.

Materiały ze Środy Śląskiej.

Otrzymałem materiały dotyczące organizacji: „Rzeczpospolita Polska Walczaca”. Nie wszystko da się przeczytać – bo kopie są bardzo słabe. Zaznajamiając się z ich treścią, można wczuć się w klimat lat powojennych ubiegłego wieku, w klimat wyroków, przesłuchań, raportów – działalności operacyjnej średzkiej bezpieki. Nawet trochę dziwi, że tak łatwo łukowianie dawali się wciągać do konspiracji. Czy to patriotyzm? Myślałem nad tym i doszedłem do wniosku, że jedną z przyczyn stosunkowo licznego udziału łukowian w tej organizacji był fakt, że oni sobie nawzajem ufali. Jak jeden proponował drugiemu wstąpienie do organizacji mającej na celu demokratyzację życia w Polsce – drugi uważał, że to jest coś dobrego dla Polski i zgadzał się. Poza tym znał agitującego i mu wierzył. I pomimo, że organizacja „Rzeczpospolita Polska Walczaca” rozrosła się do 450 osób i była największa po okręgu lwowskim WiN organizacja podziemną obejmującą swoim zasięgiem cały Dolny Śląsk w tym i miasto Wrocław – szans na przetrwanie nie miała. Władza ludowa starała się mieć wszędzie swoich agentów i donosicieli. W każdym bądź razie – organizacja przetrwała 3 lata a po fali aresztowań w 1951 roku została zlikwidowana. Z materiałów, które otrzymałem wypisałem nazwiska tworząc listę ponad 60

osób będących członkami tej organizacji w powiecie Środa Śląska. Na uwagę zasługuje fakt, że 30%-35% członków tej organizacji w powiecie średzkim to łukowianie. Wszystkim należącym do Organizacji należy się szacunek, gdyż wstępującym w jej szeregi przyświecały ideały wolności i patriotyzmu. Krzysztof Szwagrzyk w pracy: „Winni? Niewinni? – Dolnośląskie Podziemie Niepodległościowe (1945-1956) W świetle dokumentów sądowych” W wyniku rozpracowania tej organizacji Wojskowy Sąd Rejonowy we Wrocławiu skazano 6 osób na karę śmierci:

Czecha Dionizego – komendant organizacji
Pawłowskiego Włodzimierza – komendant
okręg

Jagodę Andrzeja – komendant rejonu

Radłowskiego Józefa – kom. rejonu I Wrocław

Mieczysława Anioła – komendant powiatu
Środa Śl.

Bogdana Łysakowskiego – komendant
i Michała Kieruńczaka na 11 lat więzienia.

Karę śmierci wykonano 24.04.1953 r. w więzieniu przy ul. Kłęczkowskiej we Wrocławiu wobec dwóch osób Włodzimierza Pawłowskiego i Józefa Radłowskiego. Czterech pozostałych skazanych na karę śmierci ułaskawiono. Dwie osoby zmarły jedna w więzieniu (Józef Gorzelany) i jedna w Zakładzie psychiatrycznym (Franciszek Cebula). W kilkunastu procesach skazano większość członków tej organizacji na długoletnie więzienia.

Kazimierz Paczkowski mówi: Komuna po wojnie miała w każdej wsi swojego donosiciela „Wiedzieliśmy, że w Brunowie taki jest, no może nawet dwóch, ale kto to był, to już tego nie wiedzieliśmy. Kolega przyniósł mi uszkodzony karabin, naprawiłem go, berznąłem też łufę i oddałem. Ktoś doniósł, dostałem za to wyrok i przesiedziałem 9 miesięcy.

Pan Żero (okolice Drohiczyzna nad Bugiem) też znalazł się w podobnej sytuacji. Zapytał nawet jednego z kontrolujących go policjantów: „Skąd wy to tak wszystko wiecie i od

kogo?” Usłyszał odpowiedź: „To patrz – do kogo zaraz pójdziemy”. I poszli kilka domów dalej, no oczywiście oni nie byli tacy naiwni, aby ujawniać swoich informatorów, ale w tym przypadku na wpół dyskretnie ktoś to zrobił.

Wieś Bokinka Pańska gmina Tuczna Starostwo Biała Podlaska (lubelszczyzna)

Pan Adam Chasulak, który podrzucił mi materiały dotyczące swojej wsi mówi: „Wieś była polska – po I wojnie osiedliło się tam trochę Ukraińców tak, że zrobiła się wsią mieszaną z żywiołem polskim i ukraińskim. Jednak wychodzi na to, że była tam cerkiew grecko-katolicka przemieniona za cara siłą na prawosławną. Domniemuję więc, że ludność Boginkę Pańską zamieszkiwali zarówno Polacy jak i Ukraińcy. Okres II Wojny światowej, to czas porządków niemieckich, kontrybucji i eksterminacji Żydów. Po jednym z wezwań do stawienia się z wozami o szóstej rano okazało się, że wywozi się zwłoki Żydów do dołów. Walki polskiego AK z ukraińskim UPA. Próby dogadania się Polaków z Ukraincami tzw. Armii Krajowej z Ukrainką Powstanczą Armią. Te dokumenty i ciekawia, i dziwią, i przerażają – ale tak przecież było.

Żero Lucjan

Rozmowa z tym człowiekiem wprawiła mnie w osłupienie. Myślałem nad tym, co mówił i dla sprawdzenia czy zdarzenia te miały miejsce, czyniłem poszukiwania w internecie. Przekonałem się, że zdarzenia podane przez pana Żero są prawdziwe, albo że od rzeczywistości niewiele odbiegają. Na przykład jego stwierdzenie, że w mieście Ciechanowcu mieszkali prawie sami Żydzi, jest jednym z nielicznych jego mało-precyzyjnych informacji. W Ciechanowcu (z informacji o mieście) wynika, że w 1921 roku mieszkało około 50- 55% Żydów.

Jednak getto żydowskie w Ciechanowcu było i zostało w 1943 roku zlikwidowane. Ludzie z getta zostali częściowo wyzabijani, a częściowo

wo wywiezieni do Treblinki. Pan Żero mieszka w Kołobrzegu. Pochodzi z wioski Moczydły koło Siemiatycz. Kiedy Rosjanie weszli do wioski, we wrześniu 1939 roku wszyscy mówili, że zabijają ziemian. Do naszej wsi wchodzili powoli – jakby sprawdzali ludzi. Gdzieś bliżej środka mieszkał rolnik nieco bogatszy od innych i pobudowany tuż przed wojną. Rosjanie zatrzymali się przy nim dłużej, i jak się sprawa wyjaśniła, że to też rolnik, tylko ma się nieco lepiej niż inni, a ma 7 czy 8 ha (a taki areał nie kwalifikował jeszcze na Sybir), po sprawdzeniu poszli dalej. A to zatrzymanie się dłużej uratowało naszego dziedzica, który zdążył opuścić z rodziną swoją posiadłość. Pan Żero powiedział: „Ojca też sprawdzali – kazali mu pokazać ręce – był kowalem – więc miał je spracowane – czyli w porządku”. Niemcy mieli z Rosjanami ustalone, co kto bierze. W ferworze zajmowania Polski czasem jedni weszli na teren, który mieli opanować drudzy i potem jedni lub drudzy wycofywali się na wyznaczone wcześniej pozycje.

W przypadku naszej wsi w 1939 r. Rosjanie wycofali się, a weszli Niemcy. Mieli oni posterunek gestapo w Pobikrach. Po dziedzicu pozostały tam konie i bryczki. Bardzo im się podobała jazda tymi bryczkami. Jeździli nimi po drogach i rowach – po prostu szaleli na tych bryczkach. Często obręcze pękały. Mieli kowala. Był to jednak człowiek, który w robieniu i nakładaniu obręczy na koła nie specjalizował się. Ktoś im przekazał, że ojciec jest lepszym kowalem i zaczęli do nas przywozić, do naprawy te koła. Było: „Masz zrobić na jutro na dwunastą, i ojciec to robił”. Pamiętam, kiedyś ojciec widział, że jadą po te koła, nie chciał z nimi gadać – powiedział: „Mówcie, że mnie nie ma w domu”. Koła stały przygotowane – Niemcy je wzięli i zostawili ojcu paczkę papierosów. Gdy w okolicach Małkini zginął Niemiec, urządzili jatkę i spalili trzy małe wioski. Gdy w okolicach Perlejewo znaleźli u Polaków Żydów – zabili ojca, matkę babkę i dziadka, i dzieci. Wieść się rozeszła po całej okolicy i Polacy bali się pomagać Żydom, zresztą oni mieszkali głównie w miastach. Treblinka była niedaleko. Opowiadano straszne

rzeczy. Pomordowanym Żydom w Perlejewie Niemiec rościwał brzuchy i wyciągali z nich złoto. Było takie mydło – małe niebieskie kostki. Niemcy je w ramach jakichś tam gratyfikacji rozdzielali. Ale ludzie zorientowali się, że z tym mydłem jest coś nie tak, bo w nim trafiały się ludzkie paznokcie. Były rzeczy śmieszne (i strasno i smieszno). Dorwali chłopca z naszej wsi i zaczęli wypytывать o produkcję bimbru. Z czego się robi... ile trzeba zboża na kanke 20- czy 25 litrową... on tam coś mruknął: „50 kg pszenicy”, a oni – będziesz dostawał 50 kg pszenicy” co dwa tygodnie będziesz przywoził nam tu wozem ten bimber. I tak robił. Gdy przywoził bimber, Niemcy podawali mu szklanę jego produktu i kazali wypić. On wypijał. Kazali mu jakiś czas czekać, ponieważ był to człowiek drobny, szklanka 60 czy 70% bimbru wystarczała mu, żeby był pijany. Wsiadał taki pijany na wóz i wracał do domu. Często na tym wozie spał, bo on jeszcze w ramach tego niemieckiego zezwolenia – robił bimber dla całej wsi. No tak, pan Żero mi to przekazał. Może to nie jest nawet stosowne, pisać o tak śmiesznych sprawach, przy okazji tego co się wtedy w Polsce działo, ale tak było. Pan Żero mówił. Raz, gdy ten dostawca bimbru wracał do domu zasnął na wozie. Koniowi chciało się jeść i wlaź w koniczynę, narobił tam trochę szkody. Jechali jacyś Niemcy, zobaczyli sytuację, coś ich to zdenerwowało, wyciągnęli wóz z pijanym rolnikiem i zaprowadzili go na posterunek gestapo w Pobikrach – na ten sam, na który był ten bimber dostarczany. Przekazali jakby sprawę. Z posterunku wyszli Niemcy i śmieją się. Mówią „Jest wszystko w porządku, ten koń to tu ma takie prawo, że on może jeść co chce i gdzie chce”.

„Gdy wyzwolili te tereny Rosjanie, partyzantka nie chciała się zgodzić na Polskę bolszewicką – zaczęły się walki, które trwały do lat pięćdziesiątych” – mówi pan Żyro: „Gdy w 1956 roku szedłem do wojska to KBW jeszcze rozwalilo nam stodołę, w którą trafili jakimś ich pociskiem. Partyzanci dominowali. Ludzie ich popierali. Słynna była Grupa partyzancka „Młota”. Wszystko co robił, było dokładnie opracowane i wykonane –

był odważni i z głową na karku. Ani wojsko nasze, ani Rosjanie nie mogli ich zlikwidować. Kiedyś oddział ten otoczyła duża grupa naszego wojska. Gdzieś pod lesem. Wydawało się, że to koniec. Przyjechały jeszcze wzmocnienia. Wieczorem znowu atak. Wojsko zdobywa partyzanckie pozycje a tam nic nie ma. Okazało się, że partyzanci przebrali się w mundury wojskowe – sprowokowali atak na samych siebie, gdy dojeżdżał dodatkowy oddział i w tym zamieszaniu wycofali się. Gdy wojsko zorientowało się, co się stało oni byli już daleko. W oddziale tym było dwóch braci. Jeden popełnił jakieś przestępstwo i został rozstrzelany. Drugi brat przy jakiejś okazji strzelił do „Młota” i go zabił. Po śmierci tego dowódcy „oddział” nie wrócił już do swojej świetności i powoli zaczął się rozpadać. Z internetu dowiedziałem się, że tem sławny dowódca partyzancki to **kapitan Władysław Łukasiuk**.

Pan Żero powiedział też, że gdy partyzanci ginęli a z pola walki ściągali ich Rosjanie, to grzebali ich bardzo często niewiedomo gdzie. Aby jak najszybciej o nich zapomniano. Gdy partyzanci grzebali swoich, to chowali ich w nocy, nie we wsiach, z których pochodzili, lecz często wieś czy dwie dalej – nieraz też pod innymi niż swoje nazwiskami i często w grobach zmarłych. „Pan wie, że teraz ich wszystkich chowają na nowo, stawiają im pomniki, ktoś to wszystko pozapisywał, ponotował i wraca o nich pamięć, przypominane są nazwiska, **wraca pamięć o bohaterach**”. Do 1948 roku, jak mi powiedział pan Żero, w Drohiczynie działał oddział pod dowództwem człowieka o nazwisku Krasowski. Oddział ten liczył 4 ludzi, i on zlikwidował czterech działaczy komunistycznych lokalnego szczebla. Na pogrzebach tych działaczy szli przedstawiciele różnych instytucji: szkół, zakładów pracy, a nawet były delegacje z Białegostoku. Pan Żero mówi, że w okresie międzywojennym na ich terenach powstało trochę nowych dróg i były też planowane nowe inwestycje, których realizację przerwała wojna.

Jeszcze o książce Wiktora Poliszczuka „Gorzka Prawda”

Poliszczuk pisze, że ludność polska na Wołyniu została praktycznie całkowicie wyróżniona i wymordowana w nieludzki sposób. Część, która się uratowała, to ci co uciekli do miast pod ochronę Niemców. Niemcy część tych ludzi wywieźli na roboty. Szanse przeżycia na robotach były dużo większe niż gdy pozostawało się na Wołyniu. Odwet Polaków był praktycznie minimalny. Powstająca Armia Krajowa, na bazie resztek ludności polskiej, nie była w stanie zbyt wiele zrobić, gdyż większość ludności była już wymordowana i rozpędzona. Więcej mogły oddziały niemieckie policyjne, do których Polacy wstępowali. Po proklamowaniu państwa ukraińskiego, którego Niemcy nie uznały, zaczęło dochodzić do starć między Ukraińcami i Niemcami, w konsekwencji tego aresztowano Stepana Bandere. Silna partyzantka rosyjska, walcząca na Wołyniu i Polesiu na tyłach wroga, bardzo skutecznie i w poważnym stopniu utrudniała zaopatrzenie armii niemieckiej. Oddziały Armii Krajowej współpracowały z radziecką partyzantką i częściowo się jej podporządkowywały. Odwet polski w stosunku do działań ukraińskich, jak twierdzi Poliszczuk, to było jak 1 do 100 na Wołyniu i jak 2-3 do 100 w Galicji (to wszystko jest bliskie prawdy i jest zrozumiałe). Kilku rzeczy nie mogę jednak pojąć i uważam, że Polacy w to nie uwierzą. Poliszczuk pisze, że UPA była takim samym wrogiem Polaków jak i Ukraińców. Pisze też, że w pewnym momencie 90% członków UPA – to byli ludzie zmuszeni do przynależności do band. Inne niemieszczące się w głowie twierdzenie to takie, że Polaków zginęło co najmniej 120 tysięcy a Ukraińców 80 tysięcy. To by znaczyło, że na spalone 3 polskie wsie, musieli by Ukraińcy spalić 2 swoje. Problem tkwi w tym, że policzenie pomordowanych Polaków jest bardzo trudne. Na pewno przy racjonalnych i logicznych założeniach można jakoś w przybliżeniu policzyć polskie straty. Nie mam jednak zamiaru pisać, że mordowali

Banderowcy, a nie Ukraińcy – jak chce Poliszczuk, dlaczego? A choćby dlatego, że wszyscy Polacy z Kresów używają zamiennie tych dwóch określeń, że nie było żadnej gwarancji, iż jak się spotka Ukraińców, to nie będą to Banderowcy. Wielu Polaków z Kresów podkreśla, że byli i Ukraińcy, którzy pomagali i przestrzegali Polaków – nawet tracili życie za obronę Polaków – swoich sąsiadów czy kolegów. Większość jednak, w przekonaniu Polaków, banderowców popierała.

Przeglądałem Katalog Wystawy Ludobójstwa dokonanego na Polakach przez OUN-UPA na Kresach południowo wschodnich II Rzeczypospolitej 1939-1947 wydany przez Stowarzyszenie Upamiętnienia Ofiar Zbrodni Ukraińskich Nacjonalistów we Wrocławiu, autorstwa Szczepana Siekierki, Henryka Komańskiego i Czesława Filipkowskiego, podane są liczby pomordowanych dla 4 województw kresowych i wynoszą one:

województwo wołyńskie:

66750 zamordowanych

województwo lwowskie:

40999 zamordowanych

województwo stanisławowskie:

23059 zamordowanych

województwo tarnopolskie:

45000 zamordowanych

Nadto w województwie lubelskim i powstałym po wojnie rzeszowskim; kilkanaście tysięcy plus 2000 żołnierzy i 500 policjantów

Jest i liczba zamordowanych na Łukowcu Wiszniewskim i Żurowskim, ale to się nijak nie ma do rzeczywistości. Jest podana cyfra 69 osób. Straty na obu Łukowcach. Wsie się jednak broniły. A ludność ginęła z rąk Ukraińców, Rosjan i Niemców. Ukraińcy działali od pewnego momentu na zasadzie: kogo dopadli, tego zabili. Tak było w latach 1943-1945. Po tzw. dogoworze (porozumieniu) Ukraińcy Łukowca już nie atakowali. Choć wcześniej kilka razy napadali na wysunięte domy czy obiekty (dom Ordona, młyn przy stacji Nowosielce – Żurawno). Po

„dogoworze” partyzanka polska i samoobrona przyglądały się jedynie potyczkom radziecko-ukraińskim. Faktycznie to kilkunastu chłopaków z Łukowca było w tym okresie w Istriebitelnich Batalionach. W tym okresie też Ukraińcy jak kogoś dorwali poza Łukowcem, to też go mordowali. Oni nie atakowali tylko wsi Łukowiec i nie atakowali konwojów z Łukowca do Chodorowa, przy wyjeździe Polaków na Ziemie Zachodnie. Można więc powiedzieć, że porozumienia przestrzegano.

Wieś Dąbrowa- Kolonia Żaki – sześć domów. We wszystkich sześciu domach mieszkają ludzie o nazwisku Żak. W jednym o nazwisku Żak i Burdzy. Gdy sytuacja staje się groźna. Rodziny przenoszą się do Kałusza lub na Łukowiec – kilka osób zostaje. Oni tracą życie. Zostają zamordowani w miejscach, gdzie zostają dopadnięci. To na strychu, to w stodole, to na drodze. Wśród zamordowanych był jeden Ukrainiec, który na koloni Żaki miał sympatię – Polkę. Pani Łuczyńska (z domu Żak) mówi: „Wyglądało to na jakiś rytualny mord, bo dopadli chłopaka na drodze i miał wbitych 7 noży w ciało. Podejrzuje, że byli to jego koledzy Ukraińcy. Pochowali go Polacy”. I jak to rozpatrywać. Ukraińcy czy Banderowcy. Jak to powiedzieć Polakom, że Ukraińcy byli też do nich dobrze nastawieni, albo że im nic nie groziło, skoro im groziło. Gdybym miał tłumaczyć Cezaremu Żakowi – znanemu polskiemu aktorowi – bo to o jego rodzinę chodzi, to mógłbym mu jeszcze powiedzieć, że po ich kolonii to nie ma nawet śladu, bo domy spalono doszczętnie.

Reasumując, pomimo iż książka Wiktora Poliszczuka jest w tych kilku wątkach „niestrawna” dla Polaków, to generalnie jest to książka dobra a nawet chyba bardzo dobra. Autor po imieniu nazywa rzeczy. Twierdzi, że mamy do czynienia z ludobójstwem. Opisuje ruch nacjonalistyczny ukraiński ze znawstwem, argumentuje. Wszystko co jest napisane, poparte jest twierdzeniami logicznymi, jest spójne. Autor niczego nie ukrywa. Nie rozmydla. Nie relatywizuje.

Jeszcze powód, dla którego wróciłem do książki „Gorzka prawda”. Polaków na Wołyniu było mało, około 17% co skutkowało liczbą nieco ponad 300 000 tysięcy ludzi. Straty spowodowane wojną, wywózkami na Sybir, na roboty do Niemiec sięgają z pewnością kilkunastu procent populacji polskiej. W wyniku rzezi na Wołyniu, kontynuowanej od 1943 do 1945 r., populacja Polska spadła o dalsze 20% do 40%, a w wyniku wywózek do Niemiec reszty Polaków jeszcze co najmniej o kilkanaście procent. W pozostałych województwach Polaków było więcej i straty polskie były mniejsze.

Nasi politycy, historycy, niekiedy zapominają, że Ukraińcy mordowali w województwach, lwowskim, tarnopolskim, stanisławowskim i częściowo w poleskim oraz lubelskim i nazywając mordy na ludności polskiej na Kresach „zbrodnią wołyńską” – jakby tylko na Wołyniu działały się te straszne rzeczy. Tylko w województwie stanisławowskim struktura ludnościowa była podobna do wołyńskiego, tu także na 1 Polaka przypadało 3-4 Ukraińców. W województwach tarnopolskim na 4 Polaków przypadało 5 Ukraińców a w lwowskim Polaków było więcej niż Ukraińców. Może na skutek wywózek na Sybir nieco w czasie wojny zwiększył się odsetek ludności ukraińskiej, ale nie aż na tyle, żeby mówić o dużej liczebnej przewadze. I we wszystkich tych województwach były rzezie ludności polskiej.

Jeżeli chodzi o liczbę pomordowanych przez Ukraińców to przychyliam się do sensownego jej wyliczenia, choć wiadomo, że to będzie tylko liczba szacunkowa – prawdopodobna. Nie chodzi tu przecież o to by zawyżać czy zaniżać skalę tego ludobójstwa. Zwyczajnie chodzi o prawdę. Najlepiej by było, żeby tego nie było.

Muzeum nie z tej ziemi

Muzeum Kresowe – łukowieckie

Mit Łukowca

Tam, gdzie są łukowianie i ich potomkowie, tam do dziś w mniejszym lub większym stopniu istnieje mit Łukowca. Ludzie przekazują już trzeciemu i czwartemu pokoleniu wspomnienia o żołnierzach Armii Krajowej i Samoobronie, o głodnym roku 1942/1943, o szeroko otwartych ramionach dla uciekającej przed bandami UPA ludności polskiej z okolicznych wiosek i o palących się wsiach, których łuny widać było co noc. Wspominają wywózki na Sybir i na roboty do Niemiec. Wspominają ratowanych Żydów i transporty ludzi na Zachód. Wiem, że każda rodzina ma jakiś swój udział w przetrwaniu Łukowca. Także, każda z rodzin przebywających tam w czasie wojny. Przybysze, wraz z łukowianami, pracowali w polu, w stolarniach i kuźniach, wartowali na posterunkach, kopali schrony, uczyli się obsługiwania broni i ratowania rannych.

Dlaczego Muzeum?

„Miasta i miasteczka kresowe mają się czym chwalić – wszystkie mają piękną historię. Mają kościoły, cerkwie, zamki, piękne budowle, często zabytkowe cmentarze i mury pamiętające średniowiecze. Okraszone jest to nierzadko nazwiskami historycznymi i wydarzeniami, jakie miały tu miejsce w przeszłości. Ludzie odkrywali niezwykle piękno kresowej przyrody – czar tamtejszego życia i jego uroki. Przenikanie się kultur i sens widziany w tym wszystkim co człowieka otacza, co się dzieje, co się zmienia, sens pracy i ludzkiej egzystencji. Najpierw wydawało mi się, że Łukowiec ma zbyt mało historii: Początki wsi, to mniej więcej połowa XIX. Ładny kościółek z dzwonnica, szkoła, Kasa Stefczyka, kamieniołom na Bakocynie, a domy typowe jak na tamten czas – proste drewniane, chłopskie i małe – kilka czy kilkanaście murowanych. **A jednak coś tam było niezwykłego.**

Łukowianie „wszystkich przygarniali, przyjmowali i wszystkich ratowali” – podkreśla większość uciekających na Łukowiec. Gdy usłyszałem to po raz drugi i trzeci, dotarło

do mnie, że przecież to jest największe bohaterstwo. To sens ludzkiego bytu – podać rękę drugiemu w potrzebie. Podać rękę w tak strasznych czasach i w tak strasznych chwilach.

Muzeum ma mówić o Kresach, o Galicji, o Łukowcu, i o ludziach z tamtych okolic; jak żyli, jak pracowali, co jedli, jak się ubierali, jak się bawili, co wytwarzali, jakimi narzędziami się posługiwali, jakie wyznawali wartości, i jak bronili swoich rodzin i swojej Ojczyzny. Część narzędzi była z pewnością zakupiona, ale większość została wytwarzona przez samych łukowian, przez kowali, stolarzy, tkaczy, szewców, cieśli, bednarzy, rymarzy.

Ponieważ zacząłem się przypatrywać tym narzędziom, zauważyłem w wielu z nich piękno i precyzję wykonania. Nawet na zdjęciach (tu powtarzam się) – sanie Cubera z elementami ozdobnymi prezentują się bardzo okazale. Podobnie i wóz konny Adama Burdzego z okryciem kosзовym jakże upiększającym pojazd. Zainspirowała mnie rozmowa z Panem Tadeuszem Malcem, który pokazał mi kilkadziesiąt przedmiotów z Łukowca należących do jego ojca Franciszka. Jego szczerą wypowiedź, że dla muzeum czy jakiejś salki muzealnej oddałby wszystko co ma, bo u niego nie ma to szansy na przetrwanie, gdyż nikogo to nie interesuje.

Postanowiłem, że zacznę zbierać przedmioty i pamiątki, które ludziom jeszcze pozostały po Łukowcu. Wyobraziłem sobie, że stworzymy Muzeum nasze – Kresowe – Muzeum Nie z Tej Ziemi. Będzie ono naszym dziełem i dla naszych dzieci będzie wspomnieniem o ojcach, o ich trudzie, walce o przetrwanie o wolność, godność i polskość.

Kiedy pierwsze eksponaty oglądał starosta średzki Sebastian Burdzy i dyrektor Muzeum Regionalnego w Środzie Śląskiej Grzegorz Borowski, pomyślałem, że może usłyszę, że eksponaty są zbyt słabe, mruknąłem, że jest to trochę zmateriałizowany dalszy ciąg Zeszytów Łukowieckich. Jednak obaj panowie do zgromadzonych przedmiotów zastrzeżeń żadnych nie mieli. Szybko ustaliliśmy, że konserwacją zajmuje się Muzeum w Środzie Śląskiej, a Starosta znajdzie na to

przedsięwzięcie pieniądze. Ja zobowiązałem się, że zbieram i przekazuję pierwszą i drugą część eksponatów do Muzeum – jesienią 2015 roku. Trzecią część eksponatów przekazuję wiosną 2016 roku. Muzeum wzięło na siebie konserwację, renowację i zorganizowanie wystawy już w 2016 r.

Chciałbym, żeby to Muzeum składało się z trzech części. Pierwszą stanowiłyby eksponaty muzealne – rzeczowe, drugą byłyby odznaczenia wojskowe i dokumenty do tych odznaczeń. Część tych odznaczeń byłaby darowana Muzeum, a część przekazana do depozytu. Myślałem nawet, żeby się wycofać z tego pomysłu, gdyż kilka osób nie odpowiedziało mi nic na propozycję czasowego przekazania medali i krzyży do muzeum. Jednak, gdy usłyszałem od pani Kędzierskiej, że zdeponuje odznaczenia i dokumenty męża – uwierzyłem, że to może się udać. Tym bardziej, że i córka pana Jana Kuchty zgodziła się na oddanie medalu Yad Vaschem do depozytu. Trzecią część muzeum mogłyby stanowić różnego rodzaju zdjęcia i dokumenty dotyczące Łukowca i łukowian. Ponieważ mam ich co najmniej dwieście, zdaję sobie sprawę, że bez trudu można by zebrać nawet kilka tysięcy takich dokumentów. Byłem we wsi Wały – odwiedziłem Mariana Kowala wyciągnął kilkadziesiąt starych zdjęć i dokumentów ojca. Przy tym mówił, że dziś żałuje, że nie słuchał tego, o czym ojciec tak wiele razy opowiadał. U Kowala była placówka wartownicza samoobrony. Z dokumentów wynika, że Piotr Kowal urodził się w Stanach Zjednoczonych, w Passaiku, miejscu za Oceanem, do którego łukowianie najczęściej docierali za chlebem.



Łukowiec – dom Aleksandra Kozła (zamieszkiwała w nim też rodzina Wojciecha Ozgi z Berestawów). Tu przechowywana była Żydówka z Żurawna – Ruzia Jampel z córeczką Erusią.



Łukowiec – Widok kościoła Św. Wojciecha.
Zdjęcie Kazimierz Ozga – 2009 r.



Grobowiec księdza Władysława Potrzebnickiego na starej części cmentarza przy kościele.
Zdjęcie Kazimierz Ozga – 2009 r.



Łukowiec 1943 r. Pamiątka I Komuni Świętej
(w środku ks. Jerzy Wanatowicz)



Zdjecie z Łukowca: Michał Watras z żoną Michaliną

Stanisław Kudłacz z kolegami
(zdjęcie z Anglii)



zdjęcie z Anglii – Stanisław Kudłacz
z kolegami odwiedza dzieci
w polskim sierocińcu



Stanisław Kudłacz odwiedza znajomych
(rodzinę Szynalskich)



Wesele w rodzinie Hawryszów



Rodzina Buczkowskich: Zofia Buczkowska z synem Edwardem
i Janiną Jaskółą (zdjęcie powojenne)



Ślub w rodzinie Kubalów. W czarnej sukni Katarzyna Szulak – na Łukowcu "głowa". Rodziny: Jacków, Łukawskich, Szulaków (Jodłowice – Stary Dwór)



Młodzież z Wichrowa 1947-48 r.



Prymicja ks. Józefa Hawrysa – 1954 r.



Wesele w Osieku 1954 r. Kazimierz Partyka żeni się u Halickich



Jan Kudłacz i Edward Baran z małżonkami (lata powojenne)



Dożynki w Wichrowie (lata 50-te)



Jan Kudłacz – wygnany jak mówi do
wożenia zboża w kołchozie (w niedziele)
lata 50-te



Wały (Wały Śląskie) lata 50-te – święcenie pokarmów przy kapliczce
obok domu Watrasów



Orkiestra rodem z Łukowca (Jence, Kopała, Żak)
zdjęcie powojenne



Ksiądz Edmund Więcek z parafiankami. Wichrów.
Lata powojenne



Ksiądz Roman Dac z mieszkańcami Wichrowa.
Lata 50-te



Ksiądz Edmund Więcek z dziećmi z Wichrowa



Pan Tadeusz Asyngier wraz z Małżonką. Kostomłoty 2003 r. (Wypowiedział się w kwestii Czechów). Spowinowacony z rodzinami Łukowieckimi, m.in. z Brzuszkami.



Ludwik Kędzierski – żołnierz września 1939 r.,
dwukrotnie wywieziony na Sybir. Na Łukowcu szkolił żołnierzy samoobrony.



Cecylia Kudłacz z domu Kubala – mieszkanka Wichrowa.
Małżonka Jana Kudłacza. Zdjęcie powojenne.

Kennort Miejsce wystawienia	Zurow
Kreish. Starostwo powiat.	Brzeżany
Distrikt Okręg	Galizien
Kennnummer Numer rozpoznawczy	A 00 001
Gültig bis Ważne do	30. Oktober 1948
Name Nazwisko	Bak
Geburtsname (b. Ehefrau) Nazwisko panieńskie (u mężatek)	Chodor
Vorname Imię	Francischka
Geboren am Urodzony (a) w dn.	30. September 1909
Geburtsort Miejsce urodzenia	
Kreish. Starostwo pow.	Brzeżany
Distrikt Okręg	Galizien
Land Kraj	Generalgouvernement
Beruf Zawód	erlernter wyuczony Keine ausgeübter wykonywany Landwirtin
Religion Wyznanie	römisch-katholisch
Besondere Kennzelchen Szczególne znaki rozpoznawcze	Keine

Francischka Bak

Unterschrift des Kennkarteninhabers
Podpis posiadacza karty rozpoznawczej

Prokaczyn, den **30. Oktober**
dnia

Ausstellungsbehörde
Władza wystawiająca

Unterschrift des ausfertigenden Beamten
Podpis sporządzającego urzędnika

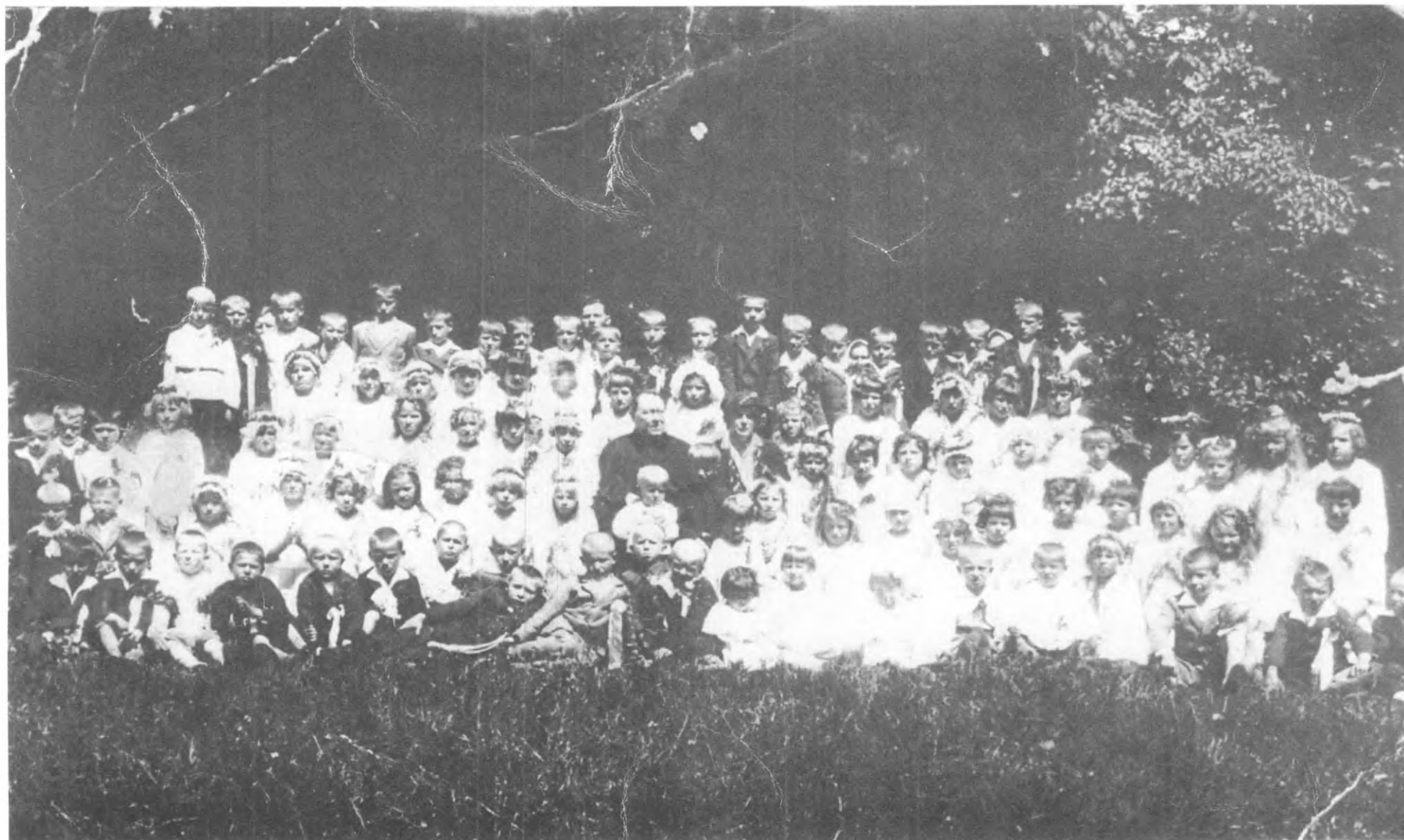
Kennkarte (Karta rozpoznawcza) Franciszki Bak – pierwsze dwie strony



Kazik Burdzy syn Jakuba
zamordowany przez Rosjan
na Łukowcu w 1944 r.
Próbował kupić broń, zginął
zastrzelony pod lasem, wcześniej
przywiązany do konia i ciągnięty.



Rodzina Adama Burdzego wraca ze szpitala w towarzystwie Ks. prof. Romana Dacy.
Zdjęcie zrobione w Żarowie 1947 r. Powozi Niemiec Paul (konie z Łukowca).



Zdjęcie komunijne z 1933 lub 1934 roku. W środku ksiądz Józef Potrzebnicki. Zdjęcie przekazane przez panią Marię Supernat

Διερρώμιον, 4. viii 2009

Poeie Frański!

Mam nadzieję, że jeszcze "Zeszyty Łukowieckie" ukazą się, bo Łukowianie nadal żyją i mogą coś do zafierowania. Mogą podzielić się swoimi przemyśleniami bądź jakimiś wieściami. Jest to jedyne forum, które mogą być mieszkańcami Łukowca. Ponieważ mnie w tym roku udało się odwiedzić Łukowca, więc chciałem się podzielić z Państwem i ew. z krytykami "Zeszytów" swoimi wrażeniami i niespodziewankami jakie mnie spotkały w zetknięciu z rzeczywistością po 64 latach. Swoje spostrzeżenia starałem się po cichu udokumentować zdjęciami, ale nie wiem czy ktoś by uwierzył opisowi, tak jak ja nie chciałem uwierzyć opowieściom kolegów odwiedzającym wcześniej już Łukowca. Józefowi Gładysowi (mieszkańcowi Oleszów) i Kazimierzowi Furtakowi (mieszkańcowi Lubina). Wysyłam więc wraz ze swoją relacją kilka zdjęć do ew. wykorzystawca, /mnie zwracając/. Może ~~nie~~ byłoby krytycznie przedstawienie sytuacji, ale taka jest prawda, gorzka prawda. Myślę, że powinni o tym wiedzieć byli mieszkańcy Łukowca, którzy żyli w rozkwicie, w rozgwieździe i nadziei na wyższy poziom życia. Za nowej ludności stała się odwrotnie. Tylko wejście do UNIE (jeśli ich przyjmą) może złagodzić ten mrok z niedoli (oczywiście za naszą przemocą) ^{smutne i beznadziejne}. Jeszcze długo po nocach będą mi się snuć te ^{smutne i beznadziejne} wspomnienia z odwiedzin wspaniałego Łukowca, jakże inne od tych zapamiętanych w dzieciństwie.

Podhradec

Karimz Oza.

Od dawna pragnąłem odwiedzić Łukowiec, w którym spędziłem lata młodości i któremu zawdzięczam ochronę przed bandami banderowców z pod znaku OUN i UPA. Przeżyłem tam wiele przygód, chwil smutnych, ale i radosnych. Najpierw ucieczka i chronienie się przed bandami, udział w Samoobronie m.in. przy budowie schronów /razem z rodziną/. Potem okupacja niemiecka, która sprzyjała dokonywaniu mordów na Polakach przez ukraińskich nacjonalistów, a nawet niemieccy wojskowi bezprawnie dokonywali zabójstw /np. zastrzelono mego sąsiada Fr. Burdzego na ulicy Zielonej/. Przejście frontu przez Łukowiec dało się też we znaki. Oprócz stresów i lęku, nie przespanych nocy z powodu nalotów lotniczych i strzałów armatnich były też ofiary śmiertelne i ranni /np. w pobliskim domu Żaka leżącym obok stawów pomiędzy ul. Zieloną a Holeszowską został zraniony ułamkiem w głowę jeden z naszych kolegów /. Pamiętam toczące się walki, przemarsz uzbrojonych wojsk, palące się samochody i wozy pancerne, a także zestrzelone samoloty / jeden za torami kolejowymi niedaleko stacji Nowosielce - Żurawno, a drugi wcześniej na Wandolinie/. Ciągła zmiana miejsca zamieszkania na Łukowcu /trzykrotna/ z powodu ciasnoty, bowiem w jednym domu w czasie wojny zamieszkiwało /chroniło się/ po dwie, trzy, a nawet cztery rodziny. Pomoc rodzinie w gospodarstwie i innych pracach domowych oraz wypas koni i bydła na dużych łąkach zw. nidwami - nie sprzyjały nauce, którą kontynuowałem w szkole przy ul. Holeszowskiej. Pomimo młodego wieku znałem bardzo dobrze ówczesny Łukowiec / szczególnie Żurowski zwany też Nowym/, prawie wszystkie ulice i dużą część mieszkańców. Niejednokrotnie przemaszerowałem cały Łukowiec wzdłuż i wszerz, chodząc do szkoły, kościoła, sklepu, na stawy, łąki, do lasów, a także do Żurawna przez most na Dniestrze, lub do Żurowa, Karolówki i Berestawów przechodząc przez Stary Łukowiec /Wiśnowiecki / i stację / Sztrekę / w Czerniowie lub do stacji Nowosielce - Żurawno. Nic dziwnego że chciałem te miejsca jeszcze raz zobaczyć po 65 latach i pochodzić dobrze znanymi mi z dzieciństwa drogami i ścieżkami. Nasycić się widokiem zachowanym w pamięci, pięknym krajobrazem i niegdyś tętniącą życiem dużą wsią. Tym bardziej, że mieszkali tu moi krewni, z którymi od dziecka utrzymywałem kontakty rodzinne. Pomimo, że kilka razy odwiedzałem była II RP. i rodzinne strony / Bukaczowce, Żurów, Karolówkę, Berestawę / nie mogłem jednocześnie pojechać na Łukowiec ze względu na trudności komunikacyjne. Tym razem silne postanowienie i chęci wzięły górę. Wreszcie 2009r. ja z Kochmanem rodem z Berestawów i Edek Sondej z siostrą Milą Nitecką rodem z Karolówki wynajęliśmy samochód osobowy z kierowcą /jak się później okazało bardzo dzielny/. Wyruszyliśmy drogą lokalną z Czerniowa na Łukowiec, biegnącą obok Wiszniowa i Wandoliny. Już po przejechaniu paru set metrów, droga okazała się podziurawiona z koleinami i wybojami napełnionymi wodą, tak że ryzyko przejazdu po takich wertepach stawało się co raz większe. Kierowca - kobieta wzywała Boga o pomoc i jednocześnie pomstowała, że zgodziła się na taką drogę. Po szczęśliwym przejeździe do Łukowca, okazało się, że drogi /ulice/ wiejskie nie są lepsze i niekiedy koła samochodu chowały się w kałuży i błocie. Dzięki napedowi na cztery koła i determinacji kierowcy, a nawet jego heroizmowi udało się pokonać te drogi. Obraz Łukowca po tylu latach zaszokował nas. Wszystko jest inne, zaniebane. Teren porośnięty chaszczami, krzakami i kępami drzew, tak że ledwo widoczne są dachy domów pokrytych eternitem. Zagięły przydomowe ogródki z pięknymi kolorowymi kwiatami i rabatkami, urokliwe duże sady owocowe oraz pola niegdyś wyglądające jak dywany. Życie jakby zamarło. Czas zatrzymał się tu na pół wieku, a w niektórych przypadkach nawet się cofnął. Edek Sondej w znanej mu dzielnicy Starego Łukowca w tzw. "Bucie" ledwo odnalazł poszukiwaną rodzinę i to dzięki pomocy Kościelnego. Domy są tu rozrzucone w znacznej odległości od drogi, a wiele dawnych domów się rozsypało. Drogowskazem był dla nas na rozwidleniu dróg dawny stary krzyż ze ŚW. figurą stojący między wiekowymi drzewami. Ja z Kochmanem postanowiliśmy odnaleźć domy w których kiedyś mieszkaliśmy on na ul. Holeszowskiej, a ja na ul. Zielonej.

Skrzyżowanie dróg w Łukowcu /za kościołem / przy którym mieszkał nasz znajomy /kolega Poldek Stępień ostatnio zamieszkały w Brzegu Dolnym/ okazało się dziwnie małe, a jedna z dróg od krzyżówki jest nieprzejezdna i porośnięta trawą. Przypomnę, że z tej krzyżówki wiodły drogi do Żurawna, Chodorowa, Żurowa, Wiszniowa i Bukaczowiec. Z tej krzyżówki udaliśmy się najpierw na ul. Holeszowską w poszukiwaniu domu Maruta/u którego mieszkał w czasie wojny Kochman/i budynku szkoły. Zostaliśmy jednak rozczarowani. Budynek szkoły w którym po wojnie za czasów sowieckich mieściła się siedziba NKWD już dawno zawalił się, a na ruinach rosła okazała krzaka. Zachowała się jedynie czynna studnia. Dobrze, że w "Zeszytach Łukowieckich" zamieściłem pamiątkowe zdjęcie budynku szkoły z lat sześćdziesiątych. Domu Maruta nie mogliśmy odnaleźć. Jeden z mieszkańców Łukowca /Łemek rodem z Jarosławia/ zamieszkały w domu Kołodzieja /któremu tą drogą przesyła pozdrowienia/ poinformował nas że dom Maruta zawalił się. W dalszym poszukiwaniu ruszyliśmy drogą polną na równoległą ul. Zieloną mijając na rozwidleniu dróg, znany nam stojący jeszcze ozdobiony obecnie kolorowymi świecidełkami. Tutaj na ul. Zielonej napotkaliśmy przy domostwach tylko starsze kobiety i jedną młodą matkę z dzieckiem. Kiedy zatrzymałem się przy byłej posesji rodziny Ostrowskich, gdzie kiedyś mieszkałem, byłem mocno zdziwiony. W miejscu gdzie stał dom rosła dorodna trawa w otoczeniu krzaków i kilku zdziczałych drzew owocowych. Starsza mieszkanka poinformowała mnie, że dom się dawno zawalił, został rozebrany i przeniesiony na drugą stronę ulicy /w miejscu gdzie mieszkał kiedyś Misa /. Kilka set metrów dalej kończyły się zabudowania i także skończyła się droga, która niegdyś przebiegała dalej aż do kościoła i w kierunku Chodorowa. Obecnie tą drogą mógł przejechać dalej jedynie traktor. Kierowca naszego samochodu wreszcie odmówił dalszej jazdy i zlewością zawrócił na podmokłej łące. Byliśmy więc uratowani przed ugrzęźnięciem. Zrobiłem jeszcze zdjęcie zachowanego domu po Koźle, u którego też wynajmowaliśmy mieszkanie. Dojścia do niego nie znalazłem, gdyż stoi w dużej odległości od drogi, otoczony drzewami i wysokimi zarostami /patrz zdjęcie/. Próbowałem jeszcze rozpoznać dom Gwoździńskich stojący na końcu ul. Zielonej, ale był tak otoczony wysokim i gęstym parkanem /Żywopłotem/ zarówno od strony ulicy i od strony przylegającej łąki, że nie sposób było się wcisnąć, aby coś zobaczyć. Wracając z ul. Zielonej na Holeszowską, skorzystaliśmy z nieco lepszego drogi polnej biegnącej z tyłu byłej posesji Cygana i Furtaka. Drogą tą uczęszczałem kiedyś do szkoły zabierając po drodze kolegów szkolnych Kazia Furtaka i Cygana. Oszołomieni wrażeniami udaliśmy się na miejsce umówionego spotkania, przy kościele Łukowieckim, który swym widokiem góruje na wzniesieniu i wyróżnia się od reszty zabudowań. Kościół jest wyremontowany, pomalowany wraz z dzwonnica, figurą MB. i stojącym przed nim krzyżem. Kościół otoczony jest pomalowanym ozdobnym płotem. Zaproszony przez Edka Sondeję ksiądz Stefan otworzył kościół, abyśmy mogli raz jeszcze pomodlić się przed Łukowieckim obrazem, przed którym nasz pielgrzym Mietek Kochman będąc dzieckiem przystępował do I Komunii Św. Kościół obecnie przystosowany jest na cerkiew. Pocieszającym jest fakt, że za ikonostatem pozostawiono oryginalny ołtarz z obrazem Łukowieckim. Omentarzu przykro mi pisać. Niech świadczą o tym załączone zdjęcia. Chaszcze i busz widać na wielkiej przestrzeni. Gdzie niegdzie wyłaniają się wierchołki krzyży. Do najbliższego nagrobka /pomnika/ przedarliśmy się przez wysokie zarosty. Był to nagrobek tutejszego proboszcza księdza Władysława Potrzebnickiego zmarłego w 1943r. Wśród chaszczy prowadzi wąska ścieżka do nowych mogił ukraińskich, ukwieconych kolorowymi wieńcami. Wdzięczni z miłym akcentem rozstaliśmy się z księdzem Stefanem i jego synem oraz kościelnym, żegnając Łukowiec z mieszanymi uczuciami. Drogę powrotną wybraliśmy inną - nieco lepszą, ale kilkanaście kilometrów dłuższą tj. poprzez Stację kolejową Nowosielce-Żurawno, obok Hrehorowa do głównej trasy biegnącej przez Podmichałowce, Żurów i Czerniów aż do Bukaczowiec. Tak zakończyłem swoją wymarzoną wycieczkę na Łukowiec i rodzinne strony, gdzie gnały mnie wspomnienia z dzieciństwa.

Lipiec 2009

Sierpień 2009

Sermoring Gene Keenmeyer

Narungyic do asessim'e'ney' noomory telefonimay, as midem
 sit' naximac' do Pona i'uko luy' atokacionim. M'esskekiping
 tok' a bok me politione' ~~do~~ do uily' atang' xetang, luy'
 tem' 3, paxomay' kaka, 5aka i' naxie' Frunxika m'aka.
 do atokacione' 45 nota pye'edoximay' to do m'ep'oxom
 al'pina a potone' spoxie' xiketo. do drax' ukaxenide' sit'
 m'axoxego m'umay' se'xob' atokacionim' xetom' j'axo' staf'or
 ce'xet' m'ikima. se'xob' to j'ax' atokacione' ce'xetom' a me m'oxe
 sit' pax' ich' l'etane' zuxat', do paxomimay' do noie' adone-
 mie' i' obmay' obono' j'ax' paxomimay'. O'okimay' to' s'uxem.
 hipomay' i' ce'xob' a k'iximay' pax'olo' xic' i' p'uxom' atokacionim.
 j'ax'oxego to se'xob' m'axer' sit' xetoxemomay' set' to m'oxia' k'axo'
 xic' a k'axim' ap'ipim' m'ep'okaja' i' s'uxem, k'axo' k'axo' obon' i'
 not' m'ie' obonim' q'axomay' p'axoximay'. se'xob' paxomimay' m'
 sit' s'ixom' k'axomay' po pax'oximay' to luy' j'ax' m'okot' "no m'oxe'xat'
 m'oxia' ap'okomay' p'axomay' not' "

Ne smi pomysl i upokolenie Persyjskeho, ktery sjs dle
 rukou sborne majiteho znamenie i zecanet. Rukoukem mu
 kedyz zecanet omele mody sjs na nupnoda voda. Tvea
 kwanke i zecanet se jist mody kwanke, na cruce, do mu i sgeret
 i odu stron pise od nuda sroje histone i do 4 500 000 dle pas
 mome ~~zgodne~~ kwanke pnydy, do obo elady sude te do
 pely by kwanke a me opanem. Gadyse de zery me
 mome mezanice, uspaniech panyen dny, do kwanke
 i kwanke i dny. Pod tym kwanke co pise ran, post adyem
 Reme kwanke, nudy sjs byto podyne. Jist kwanke z
 kwanke kwanke jist ran nudyke wdyngm kwanke
 i panyem. To mome se se jist kwanke kwanke, do obo kwanke

i trochę ciekawie przypominać naszą historię młodemu pokoleniu Polaków, oraz losy naszych Rodzin.

Pamiętam P. Banas, już chyba któryś swoje obywatelstwo, niestety z braku materiałów, chciałbym zobaczyć jakas inne źródło wspomnień o naszych stronach.

W nr. 11-12 zeszytów w swoim liście wspomina Pen o Buletyńcu Bukacowickim, nie wiem jakie treści zawiera i gdzie go można znaleźć.

Wiem Pen też o Wielgym 2005. słuchami historykami. Penie wspomnienie z Łyseckiej, jeżeli to możliwe to z przyjemnością bym się z tym zapoznał.

Bardzo zainteresowane mnie wspomnienie o Powstaniu Kozackim z P. T. Tomkiewiczem, opracowywającym mapy byłych polskich miejscowości. Moim mniemaniem jest mapa Łukowa chociażby nawet odgrzana, z ulicami, ważniejszymi punktami np. kościół, szkoła, dom Kozaków, młyn, sadziny i w miarę możliwości miejsce zagrody niektórych ziemian, robotników itp.

W nr. 5 zeszytów jest mapa Łukowa ale chyba satelitarne i trudno tam coś zlokalizować.

Jest w 2006 roku. Odkryłem Łukowice i miejsce po naszym średzisku, pozostał tylko niewielki stówek który poznałem oraz te same kłasy leśniczyńskie które noszą przy sobie.

Łukas, jeżeli wiesz Pen że dachy mi coś odpisać to będę wdzięczny.

Przykro mi że nie mogę
Lukasowi napisać

Ciepło

4 XII 2014

Drogi Tanie Franciszku,

Dziękuję bardzo serdecznie za ten, tak obszerny, listek, który wzbudził we mnie wiele wspomnień z lat dziecińczych. Wyruszkawie te przedmioty były wtedy w użyciu przez nas wyruszkawich.

Dana syn wspaniale to zobrazował w nakręconym filmie i Tadek opisał je ze swej pamięci.

Łucja Franciszek (Tadek ojciec) był na prawdę dobrym tkaczem. Mieliśmy, przez niego zrobione kołnierze i chodniki, meble konopiane i lniane. Rysiki i tabliczki wycinaliśmy w domu i szkole.

Cieszy mnie bardzo, że Tadeusz postanowił oddać te swoje skarby do muzeum, który stwarza, dla wspomnień o Łukowcu, jego osiągnięciach i zaradności.

To prawda, że Łukowiec nie był biedny, zadowolony wsią ale wsią z której można być dumnym. Nasi przodkowie to ludzie mądrzy, utalentowani i zaradni, jak również pomocni i opiekunowie, co pokazała drugo wojna światowa jak również obrona przed ukraińską bandą. Wzajemna pomoc w głodzie i chorobie. Nasze dzielne sanitariuszki, jak Pana Mamusia, narażały swoje życie aby pomóc innym.

Bardzo mi przykro do dziś, że nie mogłam jej podziękować osobiście za pomoc memu ojcu. Jej asysta i wsparcie, w tak trudnej dla niego sytuacji zawsze pozostanie w mojej pamięci.

Proszę mi wybaczyć, że nie odpisałam wreszcie

"rozwiązał się work" z kłopotami dla naszej rodziny.
Po matu wszystko się reguluje i wraca do normy.
We lwes'mie i Jarckiemie odwiedzili nas moja
siostra Stasia i Jurck, jej mąż, mieszkający w Łonowie
to byli nam pomocni pomagając w czym byli potrzebni.
Czekamy na nowy Rok z nadzieją, że będzie lepszy
choć i ten, dzięki Bogu, nie kończy się źle.

Na zakończenie mego listu pragnę Pana podziękować
w imieniu Łukowian za Pana poświęcenie i determinację
do spraw Łukowca i Łukowian.

Bardzo nam miło czytać i oglądać, a przy tym
wspominać nasze dawne, nie tylko trudne ale dobre
czasy, które bez Pana, Panie Franciszku, wkładu,
mordnej pracy, byłyby zapomniane i porostawilo by
wiele faktów ignorowanych, a ludki wartki uznania,
zapomnianych.

Łyczymy Panu i całej rodzinie miłych świąt Bożego
Narodzenia oraz wszelkiej pomyślności i zdrowia
w Nowym Roku. Za wszystko wdzięczna Władysława z Mierem

Pamięć Franciszku
Brudzy.

Baroko jest mi miło, że są ludzie miłośnicy
którzy interesują się historią i przeszłością
swoich rodzin i okolic. Jestem
ekstremistą w silnie miło i miło jest ludzi
mówiących żyjących pamiętających wojnę
i wojny ukraińskie. Znam dość dobrze
Polaka i Lukowic dwóch pochodzą
z Hrehomowa. Lukowic to wioska, która
leży za miastem przez samych Polaków,
a pobliskie wsie zamieszkiwali i Polacy
i Ukraińcy. Było spokojnie i dobrze
dopóki był spokój i tak było w Hrehomowie
mojej rodzinnej wsi. Gdy zaczęła się
wojna i na moim wschodnim terenie
wstąpiła Armia Czerwona, mój ojciec
został aresztowany i wywieziony na Sybir.
Później dostał się do Armii Andersa
i walczył z Polskim wojskiem o Kanię.
Nawet album ze zdjęciami z Persji
i bliskiego wschodu wojska, gdzie służył
mój ojciec to mu po nim pozostało.
Mój ojciec Stanisław Kuoltarz swoje życie
skonczył w Anglii w Londynie gdzie
leżał się wracać do komunistycznej Polski.

Ja z mamą pozostaliśmy w Mochnowie.
Na Lukoncu mieszkała moja ciotka,
mój dalszy rodzinny, reszta moja
mama mieszkała po parafii Lukoniec
stąd znam Lukoniec dość dobrze.
Gdy zaczęły się problemy z ukraińskimi
nasz dom został podpalony a ja
w kalesonach w nocy na koniu uciekałam
przez las na Lukoniec, moja mama
schowała się w kukurydzy w nocy przeszła
drogą do tej wsi. Mieszkałam z mamą
na Lukoncu u mojej ciotki, to była
młoda siostra mamy była zimą
Babulą. Na tym Lukoncu mieszkaliśmy
przez półtora roku. To dzięki z innymi
rodzinami pierwszym transportem
przejeżdżaliśmy na Zachód. Tak
po krótko przedstawiamy tam opisując
swoje życie i moich bliskich. Chciałbym
tam też napisać, że ożeniłem się z dziewczyną
z Lukonca z domu Kuleba ma na
imię Cecylia. Tam myślałem, chcę spotkać
się ze mną, ja również chciałem
z Panem porozmawiać oświadczyć, gdyż
przez telefon rozmowa dla mnie jest trudna
ze względu na słuch. Zapraszam
Pana do mnie do domu do Wicherowa.
Gdy będzie Pan miał czas i chęć

odmierzania proszę tylko o uprzedzeniu
mnie co do dnia.

Mam nadzieję, że przyjmie mi Pan
te zeszyty Lukomskie. A resztę dokumentów
z publikacji wspomnień, proszę - przyjmij
wszystko co Pan już zbiera.

Jest z tej strony chęcią pisać
opisy, ze przygotowałem listę
mieszkańców (ten nazwiskami) Lukowca,
co tylko pamiętałem.

Przygotowałem też nazwiska niochodców
z ukraińskich wiosek na Lukomac.

Dostawałem się czy wyjąć to

Pan listownie, wreszcie dostałem
do wniosku, że lepiej lepiej jak

Pan przyjechał, przejechał i może jeszcze
coś od niego dodać. Możemy zrobić

poprawki, uzupełnić, czytać to

było przyjemnym dla nas zwołaniem
dla nas. Mój adres Pan zna,

proszę tylko o przesłanie powiadomienia
mnie o przyjeździe telefonicznie.

Mój nr. 71 399 2840

z pozdrowieniem

Jan Kudłacz.

DODATEK:

Pan Jan Kudłacz przyjechał na Ziemię Podludnie T-szym transportem
do Brunowa. Jednak po pewnym czasie przeniósł się do Włodowa
gdzie osiadł na stałe i ożenił się z ukraińską panie, Cecylię z d. Kubala.

WSPOMNIENIE PANI GENOWEFY ZIOBRO

Nazywam się Genowefa Ziobro z domu Kozioł. Urodziłam się w 1934 roku we wsi Łukowiec Wiśniowski. Moimi rodzicami byli Maria i Paweł Kozioł. Było nas ośmioro 3-ich braci i cztery siostry i ja. Moi rodzice prowadzili gospodarstwo rolne, było to 9 morgi ziemi. Mieszkaliśmy blisko lasu, stacji kolejowej. Naszymi sąsiadami byli Józef Krawiec, Stach Kozdroń, Siekierski, Faszynkieder, Furtak. Tato, zimą dodatkowo chodził zarobkowo do lasu, a najstarszy z braci Marcin pracował u Żyda w fabryce alabastru. Łukowiec Wiśniowski to wieś bardzo rozległa. Były tam przeważnie drewniane domy, które stawiano w znacznych odległościach. Zarówno moja jak i sąsiednia wieś była zamieszkiwana głównie przez Polaków. W Łukowcu skończyłam tylko 2 klasę, ponieważ wojna pokrzyżowała dalszą edukację. Do komunii przygotowywał nas ksiądz Wanatowicz, pomagała mu Pani Rozalia Winogrodzka, która bardzo przestrzegała dyscypliny i zachowania w kościele. Moje dzieciństwo pomimo wielu ciężkich chwil było wesołe. Wszystkie dzieci spotykały się na rozległej łące około 170 morgi, na której pasło się krowy. W tym czasie wymyślało się różne zabawy. Graliśmy w kiczkę, palanta. Chodziliśmy do lasu na poziomki, orzechy. Pamiętam łąki, na których kwitły piękne kwiaty. Zimą kiedy mama przędła len młodsze dzieci siedziały na piecu, a młodzież która zbierała się w naszym domu, obdzierała z kaczanów kukurydzę. Starsi jeździli na nartach. Po lodzie nie wolno nam było się ślizgać, bo niszczyły się buty. Pamiętam też że brat Marcin robił nam buty na drewnianym spodzie.

Najstarsza z sióstr Anna wyszła za mąż w 1941 r. i zamieszkała na Swobodzie. Jej mąż Józef Biedka zajmował się tkactwem, miał warsztat i wyrabiał płótno z lnu i konopi. W 1942 roku, tato wioząc córce Annie drzewo na opał, kiedy spłoszyły się konie - to drzewo przysgniotło go. Zginął na miejscu. Była to dla nas wielka tragedia. Po śmierci naszego taty, obowiązki głowy rodziny przejął brat Kazimierz, który dbał o nas jak mógł najlepiej. Choć czasy były bardzo ciężkie, nie mogliśmy narzekać na brak jedzenia. W domu mama wypiekała chleb, mieliśmy piec w którym mieściło się 6 bochenków, piekło się raz w tygodniu. Mąkę na chleb męło się w żarnach. Na święta wypieki były już z mąki, którą mielono się w młynie. Mieliśmy też 3 krowy, więc nabiału nam nie brakowało. przychodził do nas Żyd i kupował ser, śmietanę, mama chowała też gęsi, które też Żyd kupował. Jako dziecko miło wspominam Żyda Mośka, Wólkę, bo chodziłam do nich do sklepu i kupowałam dla najmłodszej siostry grysik. Mama dawała mi jajka, które wymieniałam na grysik. Chętnie biegałam do nich do sklepu, bo zawsze dodatkowo dostawałam od nich cukierki fasolki.

Gdy rozpoczęły się działania wojenne miałam zaledwie 5 lat. Ludność ukraińska z sąsiednich wsi napadała na wsie polskie, rabując i mordując Polaków. Siostra Anna która mieszkała na Swobodzie, przeprowadziła się do nas. Czuli się bezpieczniej, ponieważ Łukowiec nowy i stary zamieszkały był wyłącznie przez Polaków. Jak Niemcy wkroczyli do Łukowca, stała u nas na podwórku kuchnia dla niemieckich oficerów. Nie odczuliśmy od nich żadnej nienawiści. Po zakończeniu wojny zaczęło się mówić o przesiedleniu. Stopniowo naszą wieś opuszczała ludność polska. Mama do końca nie mogła się zdecydować, liczyła że nie będzie to konieczne, dlatego pojechaliśmy ostatnim transportem w październiku 1945 roku. Opuściliśmy dom i pojechaliśmy na stację do Chodorowa. W barakach czekaliśmy na transport. Podstawili nam wagony towarowe, do którego trzeba było zapakować cały swój dobytek. Mama zabrała też konia i krowę. Często w wagonie podróżowały 3 lub 4 rodziny. Z nami jechała rodzina Puzio, Samiła i Stach Błądek. Jechaliśmy około 6 tygodni. Przyjechaliśmy na stację do Środy Śląskiej, było to 5 lub 6 grudnia. Brat Marcin i szwagier Biedka na Ziemię Odzyskaną przyjechali wcześniejszymi transportami. Brat osiedlił się w Starym Dworze a siostra ze szwagrem w Wichrowie. Kiedy dowiedział się, że jestem już w

Środzie Śląskiej przyjechał po nas .Brat Kazimierz zabrał mamę i najmłodszą siostrę Czesławę i przyjechali do Wichrowa. My dojechaliśmy później .Kiedy przyjechaliśmy do Wichrowa większość domów była już zamieszkała przez mieszkańców Łukowca. Dalej byliśmy razem i mogliśmy liczyć na siebie. Pomagaliśmy sobie nawzajem . Zajęliśmy gospodarstwo obok szwagra Biedki. Był to duży dom, dali nam jeszcze jednego lokatora, nie mieszkał długo, odnalazł rodzinę i wyjechał do Nysy. Pierwsze święta Bożego Narodzenia spędziliśmy już w Wichrowie .W Mieczkowie była piekarnia , brat Kazik wymienił mąkę na chleb. Szwagier Biedka usmażył pączki, mama ugotowała barszcz, kaszę którą przywiozła jeszcze ze Wschodu i tak wyglądała nasza pierwsza wigilia. Nie było choinki, dopiero w przyszłym roku robiliśmy z kolorowych papierków ozdoby na choinkę .

Kiedy wróciła do Wichrowa nasza nauczycielka ,która uczyła mnie jeszcze na Wschodzie Pani Joanna Jaskuła z domu Buczkowska, namawiała rodziców na założenie szkoły , żeby nadal te dzieci uczyć .Poniemiecka szkoła w Wichrowie była całkowicie zniszczona. Pani Teresa Kudłacz pozwoliła w swoim prywatnym domu uczyć dzieci. W czasie tych zajęć Pani Jaskuła oprócz zajęć lekcyjnych, organizowała różne przedstawienia , jasełka. Niektóre z wierszy , które nas nauczyła pamiętam do dziś. Później wszyscy chodziliśmy do szkoły w Kostomłotach. Uczył nas Pan Kazimierz Markowski. Moje młodzieńcze lata polegały na pomaganiu mamie w gospodarstwie .W ramach Służba Polsce młodzież była wożona po spółdzielniach produkcyjnych do prac polowych. Była to służba obowiązkowa .Z rodzeństwa tylko ja jeździłam.

Przyszedł czas , kiedy poznałam swojego męża i 1953 roku założyliśmy rodzinę, kupiliśmy gospodarstwo w Wichrowie. Czasy były bardzo ciężkie , dorabialiśmy się wszystkiego od przysłowiowej łyżki, ale żyło nam się dobrze.

Bardzo często wspominałam czasy z mojego dzieciństwa , nigdy nie przyszło mi na myśl , że kiedyś jeszcze tam wrócę .Kiedy w maju 2004 nadarzyła się taka okazja nie wahałam się ani chwili. Pojechałam tam z wycieczką razem ze swoim synem .Tego nie da się opisać co czuję się kiedy wraca się po 60 latach w rodzinne strony. Kiedy wysiadłam z autokaru i stanęłam na Łukowieckiej ziemi to tak jak bym dostała skrzydeł . Czas się dla mnie cofnął. Kiedy wyjeżdżałam z Łukowca byłam 11 letnim dzieckiem . Wróciły wspomnienia , przypominały się ścieżki po których biegałam jako dziecko. Ale największym pragnieniem było zobaczyć przynajmniej miejsce, gdzie się urodziłam , gdzie się wychowałam . Bardzo pomogli nam mieszkańcy Łukowca. Podwozili nas furmanką . Ciężko było rozpoznać się w wiosce po tylu latach. Wiele domów ,które mogły być wskazówką, gdzie znajdował się nasz dom , niestety już nie było .Krajobraz jest zupełnie inny .Pytaliśmy się spotkanych ludzi, ale niestety młodszy nic nie wiedzieli, a starszych już coraz mniej. Ale zdarzył się cud ,za stodoły wyszła starsza kobieta, więc pytamy czy nie wie kto tu mieszkał, a ta kobieta na to ...

„A tu mieszkała taka biedna wdowa z dziećmi Maria Kozioł¹⁾. Po prostu zabrakło mi słów. Nie było osoby , która by tam nie płakała .Po chwili kiedy doszłam do siebie zobaczyłam wszystko. Nie wiem czy prowadziła mną jakaś opatrzność ,że spotkałam tą kobietę Panią Zofię Opalko. Poznałam naszą stajnię no i dom , który niestety był już przerobiony na składowisko drewna A przed domem rośnie jeszcze jabłotka , którą posadził mój tato. Kiedy weszłam do środka odżyły wspomnienia , wszystko zobaczyłam tak jak było kiedyś, poznałam żarna których używali moi rodzice .Byłam ^{pełna} podziwu dla naszej mamy ,jak ona z ósemką dzieci nas tam wychowała w tych dwóch izbach .

Przecież wdową została mając 47 lat, najmłodsza siostra miała wtedy 2 latka. Było ciężko ale żadnego z nas nie wysłała na służbę do innych ludzi. Chciałam odnaleźć grób ojca , ale niestety cmentarz zarośnięty jest chaszczami, gdzie nigdzie pozostały tylko kamienne krzyże Polaków. Zapaliłam symboliczny znicz, bo nie wiem w którym miejscu pochowany jest nasz tato. Uczestniczyliśmy we mszy świętej odprawianej w kościele , w którym byłam ochrzczona , przyjął pierwszą komunię świętą. Była to chwila bardzo wzruszająca .W czasie tej sentymentalnej podróży spotkaliśmy się wielką życzliwością ze strony Ukraińców. Zwiedziliśmy jeszcze Lwów, Cmentarz Orląt Lwowskich i Cmentarz Łyczakowski

Drugi raz do Łukowca pojechałam jeszcze tego samego roku , ale jesienią . Razem ze mną pojechali syn , zięć i córka mojego brata Marcina . Pokazałam jej miejsce gdzie stał dom jej rodziców , a mieszkali w Łukowcu Żurowskim. Odwiedziliśmy Państwa Opałków , którzy przyjęli nas bardzo serdecznie. Bardziej spokojnie przyjrzałam się okolicom. Zobaczyłam ile pól stoi odłogiem ,kołchozy zostały zlikwidowane. Młodzi wyjechali do miast, tylko niektórzy starsi uprawiają ziemię , ale żyje im się ciężko.

Nadal mieszkam w Wichrowie, tu też mieszkają moje dzieci i wnuki, ale myślami bardzo często jestem w Łukowcu Wiśniowskim.

Marcinówce 18.08.2015r.

Drogi Kurymie !

Kajserdeczniej pozdrawiam Ciebie, Twoją Rodzinę, składając za przesłankę. Pożyczam Twoją wytrwałość, siłę. Mimo kłopotów zdrowotnych konsekwentnie sturysz Łukowianom - Rodakom. Cieszę się, że swoją szlachetnością oraz siłą moralną, mobilizujesz starszych.

Szkoda, ale z prostej przyczyny nie mogę pomóc w zbieraniu eksponatów, nie mam kontaktów z Łukowianami. W Mierzkowie bywałem tylko na cmentarzu, tam są ci, których dobrze znałem. Moi najbliżsi mieszkają w Wroclawiu, a dzieci, które mieszkały w Mierzkowie nie powracają. Już wiecie, temu zamieszkałam wśród Łuki z woj. Łukowskiego i z „Centrali”. O Łukowianach, szczególnie Rodzinie Koralów nigdy nie zapomnę. W Łukowie u Koralów znaleźliśmy schronienie po spaleniu przez banderowców naszego domu w Nowosielecach (zamsta za czynny udział Taty w ratowaniu Ks. Romana Dacy), przyrzekliśmy napad to spaliliśmy w polu.

W czasie ucieczki na Łukowie miałam 3 lata. Mroźną zimą z życia Łukowian sypałam kwiatki w czasie uroczystości kościelnych w parze z Martą Polak (foto. i opowiadanie). Z pobytu w Mierzkowie najbardziej utkwiły mi w pamięci coroczne spotkania (zjazdy) Łukowian 15 sierpnia na Odpuscie w Osieku. Gospodarzem był Proboszcz Ks. Galik, homilie kilka razy głosił Ks. R. Dacy. Wszyscy szlochali gdy przypominał swoje i znane mu przeżycia innych Łukowian. Zaigrałam z ojcem Ks. R. Dacy na prozie Taty, zrobione w Ławie w 1944 r. Ks. przyjechał z Krakowa odwiedzić Tatę w szpitalu. Wracamy ze szpitala: Ks. Dacy, Mama, Jurek i ja. Poroz. Niemie - Biel.

Te konie przyjechały z nami transportem z Łukowa.

Odnośnie wyjazdu, masz rację, Marta Polak dużo wie. Jej Ojciec po powrocie z Sybiru mieszkał z nią, miał kontakty z różnymi ludźmi.

U nas w domu ze względu na skrajne potraktowanie Taty przez Łotackę,
Mama uważa - im mniej pręci prędko tym bezpieczniej (strach).
Mato wiem by udzielić wywiadu.

Czasem wpadło coś do ucha podczas spotkań rodzinnych czy sąsiedzkich.
Moja pręcka oparta jest przede wszystkim na książce Jena Polaka
i Troich „Zeszytach Łukowieckich”, dlatego z taką miłośnością
czekałam i czekam na każdą nową numer (nie popędzam), siłę
zdrowia i siły do dokonania zarysów.

(Dokumenty, które posiadam dotyczą tragicznego losu Taty
i represji z tym związanych).

Jeśli chodzi o eksponaty wiele podobnych przywieźliśmy, niektóre
używaliśmy t.j. sierp, łaski, ławę, śladko, kocz, jaskiniowe, już wszystko
„posprzątam”. Ładne z nas nie wykazało pasji kolekcjonerskiej.
(~~te~~ młodzi właściciele domu dlatego nie byli sentymentalnie związani
z tymi rzeczami).

Mam nadzieję, że uola mi się zobaczyć w Muzeum w Środkie-Słobdzie
rzeczy w których „bije” serce Łukowian, Twoje ciekawo.

Proszę przysłać za pomocą, Tęże najserdeczniejsze
życzenia zdrowia, siły, pomyślnego zakończenia
przedsięwzięcia.

Jeszcze raz pozdrawiam całą Rodzinę!

Bpłocke

Józefa Szulak
Moje wspomnienia
Wyróżnione w konkursie literackim

Urodziłam się 17 grudnia 1930 r. w Łukowcu Żurowskim powiat Rohatyn województwo Stanisławów

W 1943 roku ukończyłam pięcioletnią szkołę podstawową w Łukowcu Żurowskim. W następnym roku uczęszczałam do 6 klasy w Łukowcu Wiśniowskim, której nie ukończyłam z powodu dużej odległości szkoły od miejsca mojego zamieszkania.

W roku 1945 zaczęliśmy przenosić się na Ziemię Odzyskane. Najpierw pakowanie rzeczy, dobytku i nawet zboża w specjalnie zrobionych drewnianych skrzyniach. Wyjechaliśmy do stacji w Chodorowie. Zabraliśmy ze sobą krowy i kury. W trakcie przeprowadzania się przybyli już ludzie na nasze gospodarstwa od Sanoka. W Chodorowie staliśmy kilka dni, a następnie wyruszyliśmy w daleką, nieznana podróż. Warunki transportu były bardzo złe. Niektóre wagony nie były kryte, należało robić zabezpieczenia przed deszczem. Spało się na podłodze na słomie. W takiej sytuacji pojawiły się wszy odzieżowe, których nie można było wytępić. Być może dlatego, że wagony były już wcześniej zawszone. Nikt nikogo się nie wstydził, ponieważ wszyscy je mieli. Niektórzy palili ogniska parę metrów od wagonów i trzepali koszule nad ogniem. Podróż przeciągała się do siedmiu tygodni. Do jedzenia dostawaliśmy zupełną, oprócz tego mieliśmy przygotowane zapasy z domów, między innymi przekładaną warstwami słoninę, masło, ser w drewnianych dzieżach.

Jednak po tylu dniach podróży zapasy zaczęły się wyczerpywać. Na niektórych stacjach staliśmy po kilka dni. Wówczas ludzie coś sobie gotowali na denarkach. Dla bydła brakowało paszy i słomy na ściółkę. Trzeba było chodzić do wiosek oddalonych o kilka kilometrów od stacji i próbować kupić wiązkę siana lub słomy. Ja chodziłam z ojcem, bo mamusia musiała się opiekować chorą babcią i dwoma młodszymi dziećmi. Kiedy staliśmy w Opolu poszliśmy do jednej z wiosek za paszą dla bydła.

Były tam inne obyczaje niż u nas. Wszystkie bramy zamknięte na kłódki, trudno było się z kimkolwiek kontaktować. W tym czasie chodził sołtys po wsi i trąbił na trąbce, wtedy ludzie wychodzili do bram, a on głośno zapowiadał, że wszystkie matki z małymi dziećmi mają iść do scypnika. Ja rozumiałam, że chodzi o szczepienie. W tej wsi ojciec kupił dwie wiązki siana – tyle ile mógł unieść. W czasie podróży ponosiliśmy mniejsze i większe straty. Między innymi któreś nocy skradziono nam kury, były one umocowane w klatce na dachu wagonu. Oprócz tego wiele rzeczy uległo zniszczeniu. Pewnego wieczoru zdarzył się tragiczny wypadek, którego nie da się wyrzucić z pamięci. Chłopcy z naszego transportu w wieku 12-14 lat mieli trochę benzyny i zanieśli ją do wagonu z krowami. Tam przez nieostrożność benzyna zapaliła się. Spalił się jeden chłopak i krowy w tym wagonie. Na szczęście nasz wagon był nieco dalej.

Wreszcie przyjechaliśmy do stacji docelowej na Pomorzu. Rozładowaliśmy się w Nowogardzie. Gospodarze rozeszli się po okolicy w poszukiwaniu wolnych domów. Mój ojciec znalazł domek w wiosce oddalonej o kilkanaście kilometrów od stacji, a może i dalej bo z krowami nie doszliśmy tam w ciągu jednego dnia. Trzeba było przenocować w innej wsi. Nasza wioska nazywała się „Polska Wieś”, była jeszcze stosunkowo słabo zaludniona, dopiero kilka gospodarstw było zajętych. Pozostałe gospodarstwa były bardzo poniszczone, bez okien, meble połamane, nie było nic, co by nadawało się do użytku.

Było to trzy dni przed Bożym Narodzeniem. Ojciec pozabijał deskami okna i tak zaczęliśmy świętować. W pierwszy dzień świąt rodzice zapragnęli być w kościele. Jak się okazało to najbliższy był oddalony o 14 km od naszej wioski, w Stargardzie. Wyruszyliśmy w drogę.

Pytaliśmy jak iść i usłyszeliśmy odpowiedź: „My tu już pół roku mieszkamy i nie pytamy o kościół a wy dopiero przyjechaliście i już chcecie być w kościele”. Ponieważ komunikacji jeszcze nie było, marzenia moich rodziców spełżyły na niczym. W Polskiej Wsi był tylko zniszczony kościół ewangelicki. Wokół wioski wszędzie były lasy a za lasami - poligon wojskowy.

Nasz dom stał przy samej szosie, na skutek czego ciągle było słychać turkot samochodów, nawet w nocy nie było spokoju, bo pukano do okna pytając o drogę. Zimą chodziłam do lasu zbierać szyszki z koleżankami, w ten sposób zarabiałam trochę pieniędzy. Jak wszędzie tak i w lesie było widać skutki wojny. Natrafialiśmy na zabitych umundurowanych żołnierzy. Od ludzi, którzy tam wcześniej przybyli dowiedzieliśmy się, że są tu wielkie bagna i dużo komarów. Więc sytuacja przedstawiała się nie najlepiej. Wzrastało niezadowolenie wśród ludzi. Marzeniem wielu było wydostać się stąd. Ludzie zaczęli starać się o przesiedlenie. Na to władze nie chciały wyrazić zgody. Jednak ludzie postawili na swoim. Nie czekając lata, wczesną wiosną następnego roku, na własny koszt wystaraliśmy się o przeniesienie na Dolny Śląsk, gdzie była większość naszych sąsiadów ze Wschodu.

Ojciec zajął domek jednorodzinny w Kostomłotach, powiat Środa Śląska województwo Wrocław. W domku tym mieszkała Niemka z córką. Niemcy mieszkali jeszcze w wielu domach, ale już się stopniowo wyprowadzali. Wioska była duża około 100 numerów i większość gospodarstw było dużych, w nich mieszkało po dwóch a niekiedy i trzech gospodarzy.

Ojciec mój był pracowity i kochał ziemię. Przeprowadził się na inne wspólne gospodarstwo, w którym połowa domu była zajęta., drugą część bardziej zniszczoną zajęliśmy my. Szyby były powybijane, brak sprzętu rolniczego. Trzeba było zaczynać od przysłowiowego zera. Nic lepszego nie można było znaleźć, gdyż przyjechaliśmy później od innych. Ojciec dobrał do tego gospodarstwa siedem hektarów pola. Ja i moich dwóch młodszych braci pomagaliśmy rodzicom w pracy zarówno w gospodarstwie jak i na roli oraz w Spółdzielni Produkcyjnej, której ojciec był członkiem. W Kostomłotach było dużo ludzi z naszych stron i województwa tarnopolskiego. Ci z tarnopolskiego różnili się od nas swoją mową. Byli także Łemkowie oraz ludzie od Rzeszowa. Na początku, te różne grupy nie żywiły do siebie sympatii. Oni mieli inne zwyczaje a my inne. Z czasem zaczęło się wszystko zmieniać, pomagaliśmy sobie przy omłotach zboża, i wykopkach ziemniaków. Ponieważ były tam duże gospodarstwa, trzeba było młócić u jednego gospodarza nawet trzy dni. Ludzie się szanowali. Młodzi zaczęli się pobierać. Nie było kłótni ani gniewu, jak to często się zdarza w obecnych czasach. Cała wieś była jak jedną rodziną. Młodzież zbierała się, chodziliśmy na spacer, śpiewaliśmy piosenki a wieczorami w sobotę i niedzielę, jeśli była zabawa to szliśmy się bawić, a jeżeli nie było, to organizowaliśmy potańcówki w swoim gronie. Nie było jeszcze wtedy radia ani telewizorów tylko głośniki, jednak odnoszę wrażenie, że było weselej niż w obecnych czasach. Pozostały mi w pamięci tylko miłe wspomnienia z tamtych lat.

Nurtowała mnie myśl, że nie ukończyłam nawet szkoły podstawowej. Zaraz po przyjeździe do Kostomłoty zapisałam się do szóstej klasy szkoły podstawowej w miejscowości Osiek. Wieś była oddalona od naszej 9 -10 kilometrów. Chodziłam do szkoły pieszo i sama. W zimie zmuszona byłam zrezygnować, ponieważ było za daleko, a dojeżdżać nie było czym. W następnym roku kierownik Szkoły Podstawowej w Kostomłotach ogłosił zapisy na wieczorowy kurs szóstej i siódmej klasy (łącznie), na który się zapisałam. Jednak kurs nie rozpoczął się z powodu małej ilości kandydatów. W następnym roku – 1948 ponownie zapisałam się na ten kurs i uczęszczałam na niego cały rok. Nie było się z czego uczyć. Mieliśmy tylko jedną czytankę i tym razem nie udało się ukończyć tego kursu z powodu wyjazdu kierownika. Wtedy pomyślałam o krawiectwie, gdyż miałam do tego zamiłowanie. Uczyłam się prywatnie dojeżdżając rowerem 16 kilometrów do Środy Śląskiej. Następnie

ukończyłam miesięczny kurs „kroju i szycia” we Wrocławiu. Jednak to było za mało, ciągle myślałam o ukończeniu chociaż szkoły podstawowej.

Dowiedziałam się, że istnieje Korespondencyjne Liceum Ogólnokształcące w Legnicy, w którym są również zapisy do klasy siódmej. Zapisalam się i uczęszczałam trzy razy w tygodniu na konsultacje oraz pisałam kwartalne prace kontrolne. Siódmą klasę ukończyłam z wyróżnieniem, co mnie jeszcze bardziej zachęciło do kontynuowania nauki. Następnie ukończyłam ósmą i dziewiątą klasę i rozpoczęłam naukę w klasie dziesiątej. Kiedy po wielkich trudach dojrzałam do dziesiątej klasy musiałam ją przerwać. W tym czasie wyszłam za mąż. Po ślubie w 1958 roku przeniosłam się do męża do wioski Stary Dwór gmina Brzeg Dolny. Ze Starego Dworu nie mogłam dojeżdżać do Legnicy z powodu bardzo złego połączenia jak również nowych obowiązków rodzinnych. I tak zakończyła się moja kariera. Zajęłam się prowadzeniem domu i wychowywaniem dzieci.

Wychowaliśmy czterech synów

Najstarszy Zenon ma 26 lat. Różnica wieku pomiędzy kolejnymi dziećmi 2, 5 i 10 lat. Dla nich zdobywanie wiedzy w porównaniu z moim było o wiele łatwiejsze. Zenon – murarz, pracował na budowie, jednak po odbyciu służby wojskowej zmienił pracę i został kierowcą. To mu bardziej odpowiada, gdyż jeździ w dalekie trasy i może zwiedzać całą Polskę. Drugi syn Andrzej jest cieślą. Dużo skorzystał z praktyki w szkole po niej wyrabia ładne rzeczy.

Trzeci syn Augustyn z zawodu ślusarz- mechanik obecnie odbywa czynną służbę wojskową we Wrocławiu. W wojsku ukończył jeszcze kurs na ciężki sprzęt, na którym pracuje.

Czwarty Grzegorz, aktualnie chodzi do piątej klasy szkoły podstawowej. Nauka idzie mu dobrze. Marzeniem moim jest aby chociaż ten najmłodszy ukończył jakieś studia.

Dzisiaj młodzież często ucieka ze wsi do miasta. Uważam, że na wsi żyje się podobnie jak w mieście. Dzięki wydajnej pracy i szczerym chęciom na dzisiejszej wsi dużo się zmieniło. Coraz więcej domów ma bieżącą wodę, łazienkę, centralne ogrzewanie, lodówki, zamrażarki, ładne meble, samochody. Moi chłopcy nie uciekają do miasta, po pracy pomagają w gospodarstwie – 2,9 hektara.

Nasza wioska jest niewielka, liczy 36 numerów. Gospodarstw dużych nie ma. Większość mieszkańców to chłoporobotnicy.

Jeżeli chodzi o moje życie to nie było ono łatwe. Los niejednokrotnie mnie doświadczał. W 1960 roku zmarli mi rodzice. Mama 53 lata, Ojciec 59 lat - pięć miesięcy jedno po drugim. W 1971 roku, 25 sierpnia w nocy zapalił nam się dom. Stwierdzono, że był to samozapłon od węgla. Spaliła się szopa z węglem i drzewem, kury i króliki oraz dach domu i wszystko co było na strychu w tym zboże i wiele innych rzeczy. Zalany wodą strop uległ zniszczeniu. Trzeba było natychmiast przystąpić do odbudowy. Chcieliśmy przed nadejściem zimy zrobić dach i powstawić okna. W piątym dniu po pożarze syn Andrzej złamał nogę w kolanie. W 1979 roku zachorował mąż, przeżył dwie operacje, po których pozostało mu jedno płuco. Dwa lata później zachorował syn Andrzej, który również musiał przejść operację.

W 1972 roku wiosną, w naszej wsi rozpoczęto meliorację. Kierownik melioracji szukał pomieszczenia na stołówkę. Zdecydowałam się na odstąpienie na ten cel dwóch pokoi z kuchnią. My tymczasem zamieszkaliśmy w jednym pokoju. Podjęłam pracę w tej stołówce jako kucharka, ponieważ potrzeba było pieniędzy na końcowe prace remontowe domu. Po dwóch latach melioracja się skończyła. Podjęłam pracę w Brzegu Dolnym w WSS w placarce, następnie przeniesiono mnie do pracy w bufecie na stacji kolejowej jako pomoc bufetowej na długich zmianach. Dojeżdżałam rowerem siedem kilometrów, w tym przez las.

Najgorsza była zima. Było też tak, że trzeba było, przez cały tydzień chodzić do pracy pieszo, bo autobus nie przyjeżdżał z Wrocławia. Tak pracowałam cztery lata.

Kiedy dowiedziałam się, że w Starym Dworze zwolniło się miejsce pracy w Klubie Rolnika, poprosiłam moją kierowniczkę o przeniesienie do tego Klubu. Kierowniczka знаła moje problemy z dojazdem. Niechętnie, ale wyraziła zgodę. Zostałam gospodarzem Klubu Rolnika w Starym Dworze i Kierownikiem O.N.G., Gdzie była wypożyczalnia naczyń i magiel elektryczny. Który obsługiwałam jeden dzień w tygodniu. W klubie też prowadzę wypożyczalnię książek. Wraz z koleżanką Stanisławą Odrowąż organizujemy różne imprezy jak; choinka dla dzieci, mikołajki, jasełka, Dzień kobiet, Dzień matki, Dzień dziecka. Również imprezy sportowe, rajdy, wycieczki między innymi do „Panoramy Racławickiej” we Wrocławiu i.t.p. Prowadzimy też dyskoteki, teatrzyki dla dzieci, imprezy czytelnicze, konkursy, pogadanki z aktorami. Organizujemy również kursy na przykład „Kroju i szycia” „Szydełkowania” „Kurs garmażeryjny”. Placówka nasza co roku bierze udział w turnieju „Kolorowe wsie”.

Chociaż dom i rodzina na głowie, oraz częste zmęczenie, to jednak lubię moją pracę, gdyż jestem wśród ludzi. Szczególnie lubię pracę z dziećmi. Mam nadzieję, że w jakimś stopniu przyczyniam się do ubogacania społeczności w której mieszkam.

Na tym kończę moje wspomnienia.

Józefa Szulak

Eczyła Huollacz z domu Trubala
Pochodzę z Gnesów Województwo Stanisławów
Moja miejscowość nie była mała bo około 500
numerów liczyła Pakowiec Karowski i
Wiśniowski bo taka ich nazwa była
Wielka czysto polska nie zbyt bogata ale i
biedna nie była ziemia średniej jakości
i bez nawozów sztucznych chlebaś nam rosła
a chlebaś nie był zatruty żadnymi
konserwantami piekny zarowy ~~piekny~~
pieczony w każdym domu przez Babcię
i Mamę Ziemia była bogata w lasy
a w lasach poziomki maliny grzyby
były od wiosny do zimy prawie nie
zginęły i między lasami powietrze
zdrowe było i za Śląską ziemią nam
się nie przykryło i wyprawiać Erika
sztajbach ani się nie śniło i w bydlęcych
urazach jechać na zachód
też się nie marzyło

jedliśmy dalej bez soli i nieposmarowany
A Panowie zachodni sprzedali Polskę
Stalinowi a teraz Stalinowi
wyprzedają Polskę Zachodowi po wojnie
oni mieli plan Marszala a my
chowaliśmy Moskala bo tu się zgodziliśmy
tu się rozdzielili tu się uczyli jak
~~we~~ w naszym kraju a my dawaliśmy
plany zboża, ziemniaków, mleka
prawie za darmo a ziemia była
zaniedbana przez wojnę i ~~niektórzy~~
szli do kryminalu jak nie zdołali
~~zrealizować~~ planu bo komuna polska i ruska
chciała jeść i używać a nas
do kołchozu przelżyli na siłę
aż mama z sąsiadem pojechali
do Warszawy pytać się czy można
żyć bez kołchozu i powiedzieli
że jak zapłaci podatek do planu
to może żyć.

Drogi Panie Franciszku!

BB dnia 13 XI 2013 rok

Przepraszam, że tak długo musiał Pan czekać na ten list, ale myślałam, że wreszcie powinienem napisać do niego. Namierzałam ten list zacząć od opowiedzenia i namieszczenia poprawek w stosunku do mojego namysłu, a także mojej siostry Alojzji, ale właśnie mój nadzwyczajny kuzyn, Marta Polak-Burza i poręczyła mi, że poprosi Ona już na pewno i myślenie co to będzie. Odcisł Panie Franciszku ja naprawdę kuzynka nie może pamiętać modlitw z końca w 1940 roku, ale nigdy nie miałam wspomnienia moich Rodziców i Rodzeństwa. Chyba mi się może aby kiedyś tam pojechać. Marzenie się spełniło w kupieniu meczek w Sposób. Mój kuzyn kaptan został myślny na Ukrainę do Żydaków, ks. Damián Firsz. Został tam Polakiem. Pania obchodziła 700 lecie.

Musieliśmy myśleć z tamtą i tu przed myśleniem radno-
piti, że są 2 miejsca wale - opłakane to ktoś odwołany. Tak znalazł-
śmy się w Żydach, nie mając kupienia pojechać gdzieś do Żydaków
leży. Kiedy w sobotę wieczorem napisałam kuzynka gdzie jutro będzie mka
się wstąpiłam, że mam spać długo i myśleć, że On jedzie
do Żydów a wieczorem dopiero będzie w Żydach odprawił.

Kiedy usłyszałam naraz Żydów natychmiast przypomniało mi się moja
Mama, która chodziła na tam, a ja na mostka czekałam to radziła się, że
dostawałam kłopoty. Kiedy jednak stwierdziłam, że napewno nie o to Żydów
chodzi to kiedy się spytat o miejscowości w której mieszkał, stwierdził
że nie ma żadnego kościoła w tej okolicy. O żadnym też Żydów nie
stypat a musiałby go mieć w swoim myśleniu, które mnie ja nie bo-
rodo repartam i kłopotam by mnie nabrał. Kiedy kiedy się zgodził
mój Mój i Mój mój mimo bardzo młodej swojej godności postanowił a
nami pojechać. Kiedy kaptan odprawił nabożeństwo w Grobowcu Driedu-
mychich w Żydach ja liczę myślny na cmentarz i pomniku modli-
łam się prosząc moich Rodziców, którzy tu byli a obecnie są już po
drugiej stronie, aby mi pomogli odnaleźć moje Korzenie.

Przepraszam, że długo musiał Pan czekać, czy nie stypat o miejscowości?
Żydów? — nie! ale kiedy zaczął mnie myśleć kiedy to
było i to pamiętam. Wspomniłam, że była to wioska zamieszkała przez
Polaków, choć niedaleko była wioska ukraińska. Kiedy polskie dziecięta w
Żydach przeszły kłopoty spienali, obzi — to odpowiadają Im Dzie-
msta ukraińska a polskiej porażonej na górze wst. to tak mi
opowiadała Mama - Józefa Cigato - Polak, Puła więc ukra-
iniec a pamiętam naraz młody ukraiński? pewnie, że pamiętam
Bakocyn! A mój ukraińiec mnie chyba na cmentarz i kłopoty

Pani, Pani!! auro, wie Bakocyn! i pokazuje mi
w mieniącej odległości Bakocyn. Świsłam mojego ukraińca, wi-
skam ukraińskie stopy i biegnę do grobowca gdzie już się

skanypka moja imię i rozprawa katecheta dieci. Mój Młoci i moi
młajomi pełnie razem z dziećmi zastawiani. Przepraszam i usiłować
iżno księżkę przekazać mieli Oni sobie tu zastawia a ja nie mogłem
biegnąć do Łukowa bo jednak to jest to ZIMOWNO do którego Mama
chodziła. Tak Ona mogła to ja też mogła na nogach ok. 10 km. jechać.
Księżkę jednak rathem poprosiła księżkę katecheta i samochodem prze-
jechał. Po drodze księżkę stracił, że jeśli to jest ten Łukowicz to
prawie księżka jest zaburzona, leży w gruzach i dlatego nie było w
jego spisie księgi. To przekieruję jego teren. W pewnym momencie no-
tujemy stawa a naprzeciw stawa księżka. Kiedy myśle-
liśmy usłyszeliśmy, że jest to księżka w Łukowie Włodzimierz.
Nie ma go w spisie, bo został przemianowany na grekokatolicki i jest
pod innym nazwiskiem. Ja oczywiście natychmiast przegłosowałem, że
mimo wszystko to księżka Donat - Protokół a za nim pozostał. Po jakimś
czasie przekazywaliśmy udato się znaleźć grób Szelekha Stasieja Sołdaj
i Stasieja Emilia Polaka, który jako młody inżynier zmarł na tyfus.
"sukoty" a śmierć się zapowiadała jako Organista. Miał się w prze-
mysłu. Jednak pozostało odmalowanie mojego domu a to przekieruję w
Łukowie Włodzimierz. Mój Młoci stracił, że nie mam skans. To przekieruję na-
wet nie znam numeru domu, ani żadnych szczegółów opisać tego, że po
nocy mi się śniło jakbyś rzepli i "długo" i nawet się śniło.

A na to księżka: "coś się mi myśli, że przenieść ja znowu Przeko-
nie, więc naprawdę odnajdę..." no i pojedzieliśmy. Poprosiłem tylko księżkę
niebym tam gdzie On księżkę się mógł przekazać, było więc w dół to nie
myślenie - prosta i prosta się może się uda? To i myśleliśmy ona ja-
koś gdzieś, księżka przystanęła i straciła: "no to kamykajmy" my się ks-
żęmy modlić a Poni mieli iście na spytali. No to kamykajmy
do pierwszej chaty: "Stawa Jęzuru Chęstni" no i mówię trochę no
mówię trochę no polsku, że kamykajmy księżka gdzie byłem chęstni a
tena rukam chaty gdzie się modlić, a jaki numer? nie mam pojęcia
a co Poni pamięta? no to opowiadałem jak to było pomagać iluzinowi
waci pole, a On pomagał przy praciach kiedy były zbory. A kiedy band-
rowy mordowali Polaków On nas przekierował by szukać do dęby.

A pomysłami namisho pyta mnie iluzin p. Pamelto - pewnie że
pomysłami: Saduk. a Ona wyszła i ukuje mnie: Pany,
Pany, do swojej chaty przeszedłem a naprzeciw dom Sa-
duków, choć bez okien, dom pusty. Sadukowie nie chcą a Sępa i
Kallman stają w Sępnicy i kiedy mówią nawet go Oni to pomógł, że
Polska - to II Armia. No to ja wyskoczyłem do samochodu z młodzieńcami
że w Omyj chatę jestem. A mowa historia się powtarza: przegłosowałem cha-
ty cokolwiek ja a za nim pozostał. A kiedy przekazywaliśmy zajął się rano-
wanych chłopców bardzo wzruszony Kaptan powiedział: z miłości Poni
mi to szybko opisać. No i tak powstał ten mój Reportaż:

"Powróć do korzeni po 57 latach". Tak sobie pomyślałem, że może
się to Poni przyda i ułaskawia. że przekieruję mnie do tego właśnie Młoci
moje kamykajmy... Rozmawiam więc b. serdecznie Poni i Łukowicz. (Młajkowie Poni i Łukowicz)

DOKUMENTY RÓŻNE

1. Tabela wzrostu liczby ludności w Łukowcach za lata 1921-1945
2. Karta repatriacyjna Ludwika Kędzierskiego i przepustka na obiekt
3. Zdjęcie z Brzeżan, gdzie Ludwik Kędzierski zgłosił się do wojska i koperta z Norylska
4. Rozkaz Nr 141 przyznający prawo do otrzymania 10 ha ziemi na własność wraz z domem i zabudowaniami gospodarczymi
5. Akt nadania Piotrowi Kowalowi działki rolnej Nr 10 gromada Wały, gmina Brzeg Dolny (7 ha ziemi + dom i zabudowania)
6. Dowód Ubezpieczeniowy Piotra Kowala 1937 r.
7. Świadczenie moralności Mariana Burdzego z podpisem wójta gminy Żurów Stępień Stanisława – w czasie wojny żołnierza AK i przewodniczącego Sądu Wojskowego na Łukowcu
8. Wille i domy na Wałach (Wałach Śląskich)
9. Dedykacja Izabeli Skrybant-Dziwiątkowskiej na przekazanej mi książce opisującej swoje życie
10. Dyplom Antoniego Gajewskiego za zdobycie wicemistrzostwa Polski w klasie 505 – jako załoga
11. Dyplom Gajewski Antoni – Burdzy Wojciech za zajęcie II miejsca w zawodach żeglarskich
12. Mapa – ukazuje usytuowanie Łukowiec na granicy trzech województw: lwowskiego, stanisławowskiego i tarnopolskiego
13. Mapa Łukowiec
14. Przekazanie do depozytu do Muzeum Regionalnego w Środzie Śl. odznaczeń i książeczek należących do kapitana Ludwika Kędzierskiego
15. Lista (niepełna) osób należących do organizacji „Rzeczpospolita Polska Walcząca” – powiat Środa Śląska

Wzrost ludności w Łukowcach
na przestrzeni lat 1921 – 1945 przy współczynniku wzrostu 1,6% rocznie.
Dla całej Polski w okresie międzywojennym współczynnik wynosił 1,5%.

ROK	Łukowiec Żurowski	Łukowiec Wiśniowski
1921	1058	1008
1922	1075	1024
1923	1092	1041
1924	1110	1057
1925	1127	1074
1926	1145	1091
1927	1164	1109
1928	1182	1126
1929	1201	1144
1930	1220	1163
1931	1240	1181
1932	1260	1200
1933	1280	1220
1934	1300	1239
1935	1321	1259
1936	1342	1279
1937	1364	1299
1938	1386	1320
1939	1408	1341
1940	1430	1363
1941	1453	1385
1942	1477	1407
1943	1500	1429
1944	1524	1452
1945	1549	1475

POLSKA RZECZPOSPOLITA LUDOWA
Pełnomocnik Rządu do Spraw Repatriacji

Punkt Repatriacyjny

W Gwardii Pomorskiej

KARTA REPATRIACYJNA Nr 2255

Ob.

Michał S. Jan
(nazwisko, imię, imię ojca)

2.1. VII 1919 r. Cherechów pow. Łochów
(rok i miejsce urodzenia)

przybył(a) do Polski z

25.12.1954

wraz z nieletnim(i) (do lat 16) dzieckiem(ami)

(podać nazwisko, imię i wiek dziecka(i))

Dnia

22.10

1954 r.

Obecnie udaje się do

Stacja pow. Słaska w. Wrocław
(dokładny adres)

Zgodnie z Uchwałą Prezydium Rządu Nr 739/55 z dnia 10 września 1955 r. Prezydium Rad Narodowych, instytucje państwowe, gospodarcze i społeczne proszone są o udzielenie jak najdalej idącej pomocy okazicielowi niniejszego zaświadczenia.

KIEROWNIK PUNKTU REPATRIACYJNEGO

Wydano dn.

30.10

1954 r.

U W A G A : Okaziciel niniejszego zaświadczenia obowiązany jest zameldować się w ciągu 24 godzin po przybyciu na miejsce zamieszkania.

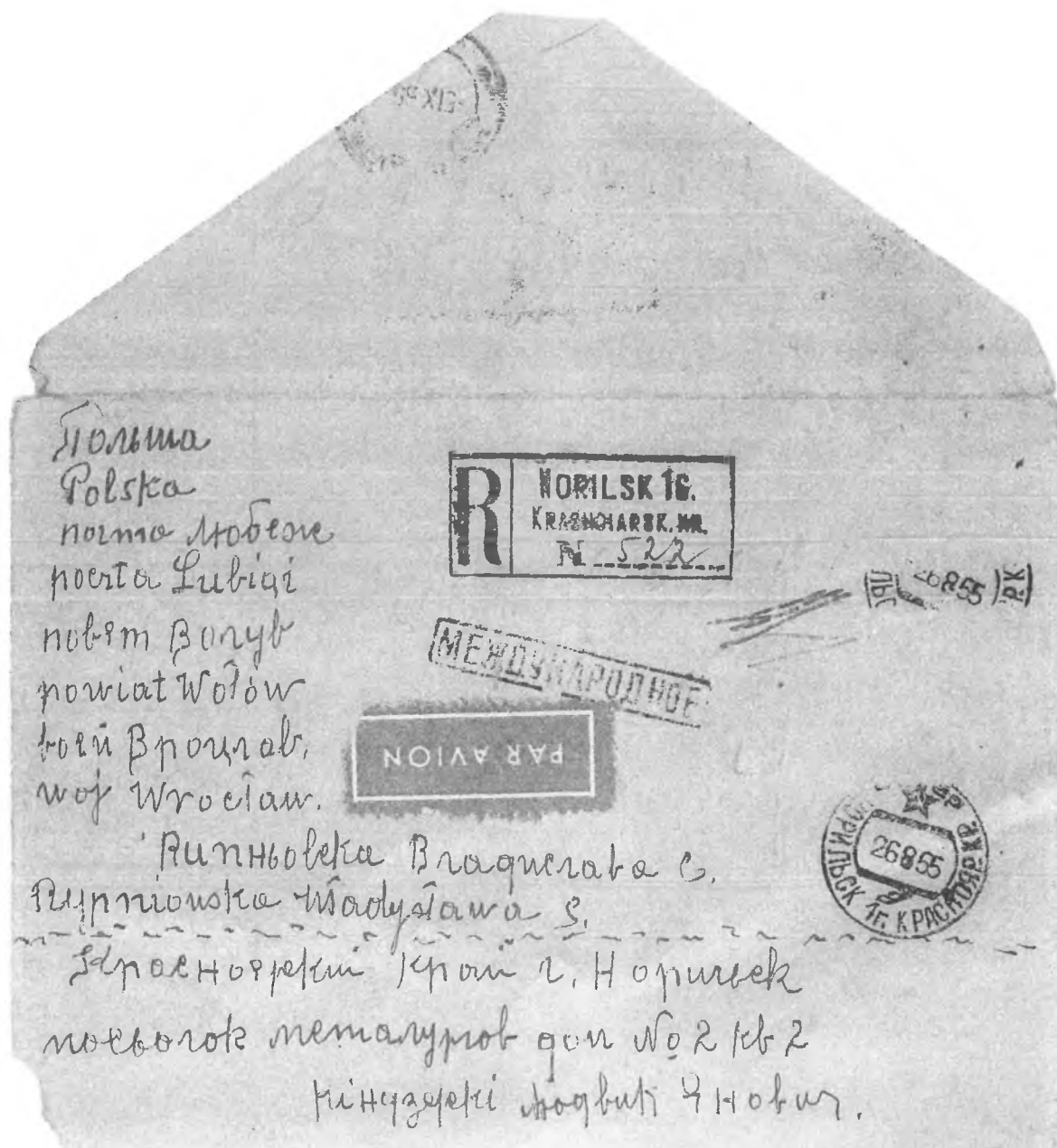
99.9.12

Постоянный пропуск
№ 30
Выдан 18.10.1955 г.
по 1.10.1955 г.
действительный
Ремезовский
Иванович
Место работы 54 ск. и др. и др.
Должность начальник
Нач. бюро пропусков
штаба ВСО

Разрешен вход на объекты
работ № № с ч до ч.
1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12
13 14 15 16 17 18 19 20 21 22 23 24
Пролеткоз 1955 г.
Начальник бюро пропусков
штаба ВСО



Zdjęcie Ludwika Kędzierskiego z wojska przed wojną – Brzeżany, gdzie zgłosił się ochotniczo wiosną 1938 r.



Żołnierz I Armii murem polskości stanie nad Odrą i Nissą!

Za ofiarną walkę z niemieckim faszyzmem i wierną służbę dla dobra Demokratycznej Polski

Naczelny Dowódca, Marszałek **MICHAŁ ZYMIERSKI**

ROZKAZEM Nr. 141

przyznał Wam, ob. **Kapral PATERAK MICHAŁ s. Antoniego**

(stopień, nazwisko, imię)

prawo do otrzymania na własność

10 ha. ziemi wraz z domem i zabudowaniami gospodarskimi

w powiatach: Chojnice n. Odrą, Gryfin, Gubin, Żuraw.

Żołnierz zdobył Ziemie Zachodnie dla Polski

- Żołnierz będzie na nich gospodarzem!

Zastępca Dowódcy I Armii WP.
do spraw polit.-wychowawczych

(-) Maskalan

pułkownik

Dowódca I Armii Wojska Polskiego

(-) Dopławski

generał broni.



RZECZPOSPOLITA POLSKA
MINISTERSTWO ZIEM ODZYSKANYCH

AKT NADANIA

Nr 10/1456

(Wypis)

Powiatowa Komisja Osadnictwa Rolnego w Wrocławiu na podstawie art. 25, 33 i 36
województwa Wrocławskiego dekretu z dnia 6 września 1946 r. o ustroju rolnym i osadnictwie na obszarze Ziemi
Odzyskanych i byłego Wólciego Miasta Gdańska (Dz. U. R. P. Nr. 49, poz. 279)
orzeczeniem z dnia 10. kwietnia 1947 roku za Nr. 1456

ob. Kowalczyk Antoni **nadaje**
urodzonemu dnia 19. czerwca 1898 w Wrocławu
(miejsowość, gmina, powiat, województwo)
stanowiącej własność Skarbu Państwa gospodarstwo — działkę: rolne
(nazwa nieruchomości oraz położenie: gmina, powiat, województwo)

- obejmujące:
1. grunty (rodzaj i powierzchnia w ha): ok. 7 ha ziemi
 2. budynki: dom 10 x 7 m.
stajnia 4 x 14 m.
stajnia 4 x 10 m.
stajnia 4 x 7 m.
 3. inwentarz żywy: —
 4. inwentarz martwy: owce 2 płci, 2 konie, krowy 2
kozy 2, krowy 2, cielęta 2, cielęta 2, cielęta 2
cielęta 2, cielęta 2, cielęta 2, cielęta 2

na warunkach, określonych w wyżej powołanym dekrete.
Ujawnienie prawa własności nadanej nieruchomości w księgach wieczystych
nastąpi po ustaleniu ceny nabycia i granic nadanego gospodarstwa (art. 30, 31
32 i 35 powołanego dekretu).

Wrocław, dnia 10. kwietnia 1947 roku.
PRZEWODNICZĄCY
Powiatowej Komisji Osadnictwa Rolnego:
Stawicki
CZŁONKOWIE
Powiatowej Komisji Osadnictwa Rolnego:
Fabry

STARE ZIEMIE PIASTOWSKIE
WROCIEŁY DO MACIERZY



POWSZECHNY ZAKŁAD UBEZPIECZEŃ WZAJEMNYCH

Dział Przymusowych Ubezpieczeń budowli od ognia

Inspektor powiatowy

Rohatyn

DOWÓD UBEZPIECZENIOWY Nr. 90

Powiat Rohatyn gmina Imorów
miejscowość Imbrów ulica ... Nr. 3

WŁAŚCICIEL BUDOWLI:

(Nazwisko i imię)

Imorow Piotr i Maria

Budowle, wymienione w niniejszym dowodzie, są ubezpieczone w Powszechnym Zakładzie Ubezpieczeń Wzajemnych od dn. 15/2 1937 r. na sumę zł. 1490
słownie: zł. cztery setki czterdzieści dziewięć
ze składką roczną zł. 3 gr. 96

Poprzedni dowód ubezpieczeniowy, obowiązujący od dn. 10/6 1936 r. na sumę zł. 1780
na imię Agoni ze składką roczną zł. 4 gr. 95 unieważnia się.

Należności, które wejdą
do rejestru poborowego 1938 r.
Składka roczna zł. 3 gr. 96

Składka uzupełniająca za czas
od dn. ...
do dn. ...
193 ... r. zł. ... gr. ...

Zwrot składki za
mies. 2 193 7 r. zł. 0 gr. 16

Powszechny Zakład Ubezpieczeń Wzajemnych
Inspektor Powiatowy w Rohatynie

(pieczęć i podpis organu, wystawiającego dowód ubezpieczeniowy).

Dnia 30 października 193 7 r.

Opłata stemplowa pobrana zostanie w wysokości, jaka obowiązywać będzie ustawowo w czasie uiszczania niniejszej należności.

Podana w niniejszym dowodzie ubezpieczeniowym suma ubezpieczenia oraz składka może się zmienić w razie dokonania przez P. Z. U. W ogólnej obniżki lub podwyżki sum oszacowania, stosownie do przepisów art. 27 ust. 4 rozp. Prezydenta Rzplitej z dn. 27 V 1927 r. (tekst na str. 3).

O ogólnych obniżkach lub podwyżkach szacunków P. Z. U. W. ogłasza w „Monitorze Polskim” oraz za pomocą publicznych obwieszczeń. Zmieniona suma ubezpieczenia oraz składka wykazywana jest corocznie w kwitach na opłatą składkę.

Rzeczpospolita Polska.

Województwo: Stanisławów

Powiat: Rohatyn

Gmina: ~~Zurów~~ Żurów

Lz/b. 25/39

Świadectwo moralności

Zarząd gminny poświadcza niniejszym, że p. Burdzy Marian, Jakub /2 im/

syn Karola i Ewy z domu Tęcza, lat 17 licząc y

rodem z Łukowca Wiszniowskiego powiatu Rohatyn

religii rzym. kat. ojciec (matka) XXXXXXXXXXXXXXXXXXXX dzieci, stanu wolnego

~~zawodu rolnik, na utrzymaniu rodziców,~~ zamieszkały (a) w tutejszej gminie

~~przy ul. w gromadzie Łukowiec Wiszniowski~~ l. 1 podczas swego pobytu

w tutejszej gminie zachowywał (a) się moralnie i nienagannie.

Świadectwo niniejsze wydaje się prosząc emu w celu przedłożenia władzom Szkolnym.

Żurów dnia 12 maja 1939 r.



~~Burmistrz~~ Wójt:

/-/ Stępień Stanisław

Poniżej dom zajęty przez rodzinę Gajewskich



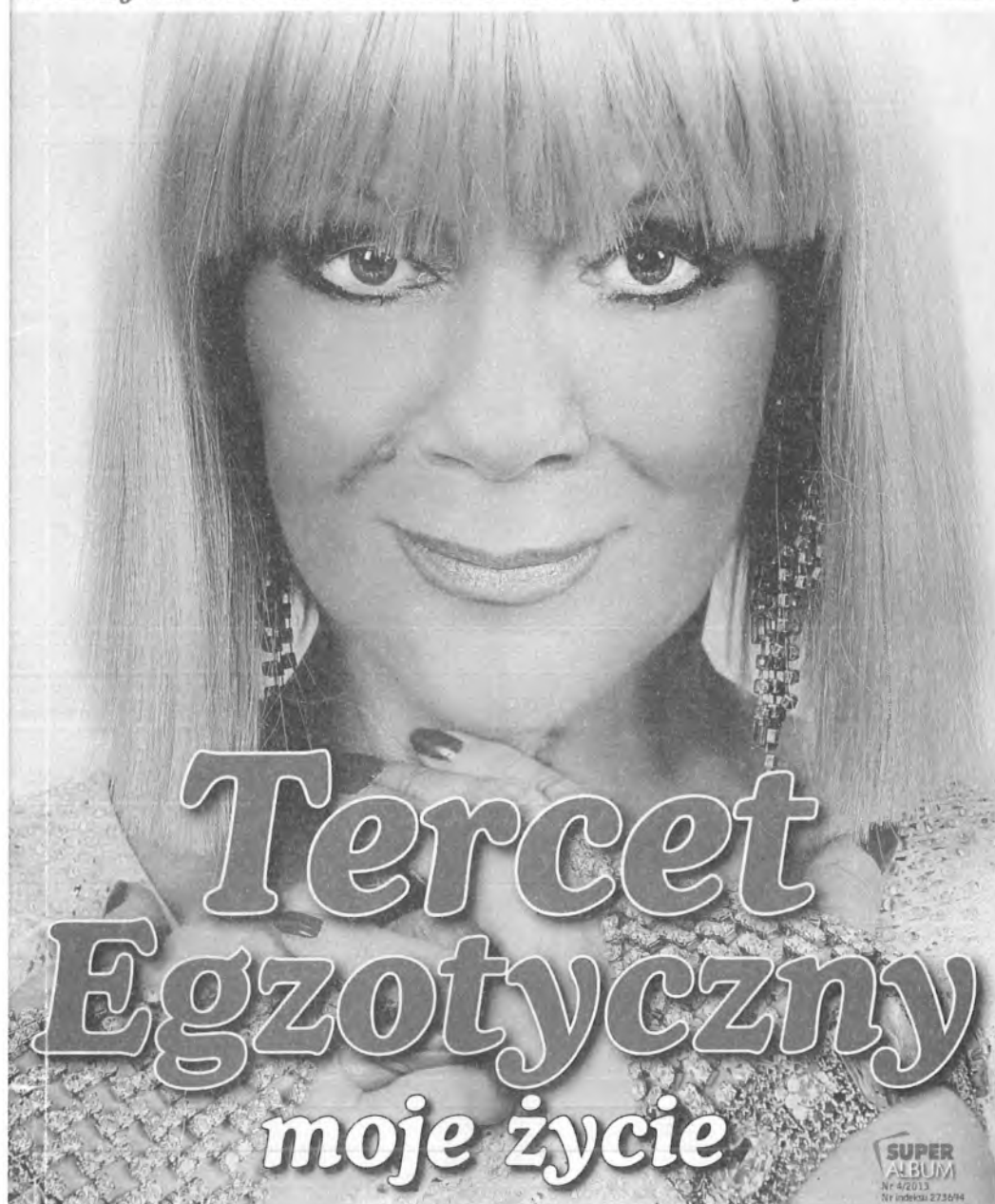
Gruß aus Reichwald



Dom, który zajął dziadek Karol Burdzy i w którym mieszkała nasza rodzina. Obecnie dom ten należy do państwa Lesiewiczów

Dom, który zajęła rodzina Hetmanów

Pocztówka z Wałów – lata 1920-1940



*Dla
Pana Franciszka
z podziękowaniami
za trud i wysiłek w opracowaniu
Leksykon Lekarskich,
Lekarska*

*Izabella Skrybant
Dziwiątkowska*

12 VII 2013



DYPLOM

Kol. *Antoni Gajewski*

za *II* miejsce

w klasie » 5 . 0 . 5 «

/jako załoga/

MISTRZOSTWA POLSKI

SWINOUJŚCIE

29.VII – 2.VIII 1961

SIĘDZIA GŁÓWNY

Wojciech Karpiński



V-CE PREZES PZZ

Michał Sumiński

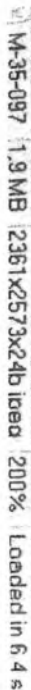
*dla załogi
Gajewski A. - Burdzy W.
„Energetyk” Wrocław
za zajęcie II miejsca
w regatach żeglarskich
klasy „Cadet”
z okazji otwarcia sezonu
nawigacyjnego w Otmuchowie.
Otmuchów, 2. V 1961.*

Włodzisław



Karim





Lubiąż 13.10.2015r

PRZEKAZANIE

do depozytu do Muzeum Regionalnego
w Grodzie Śląskiej odznaczeń należących
do sr. pami. kapitana Ludwika Kedzierskiego
wraz z książeczkami do tych odznaczeń

Osoba przekazująca: Pami. Władysława Kedzierska
zamieszkała Lubiąż ul. Ks. Błażego Wysokiego 2

Osoba przyjmująca: Franciszek Burdzy zam. Lubin
ul. Ptasia 93

Przedmioty przekazane do depozytu:

1. Medal „za udział w wojnie obronnej 1939” Opatzyna
2. Krzyż Armii Krajowej 1939-1945
3. Krzyż Represjonowanych za walkę o Polskę, Wolność i Sprawiedliwość
4. Krzyż Niezłomności Polityczny 1939 - 1989
5. Krzyż „za zasługi dla ZKRP i BHK
6. Krzyż AK „Gulaga i łagiernicy
7. Krzyż z orłem w koronie
8. Miniaturka Krzyża PRL

Książeczki:

Medal wojska 1, 2, 3

Odznaka Weterana Walk o Niepodległość

Odznaka Pamiątkowa „Akcia Burza”

Zwieszek Inr. Wojsk. Rzecz. Polskiej i Srebrna Odznaka Honorowa Zw. Inw. Wojsk. RP

Krzyż drugiej Obrony Łowosza

PRZYMAŁEŁ: Burdzy Franciszek

Lista (niepełna) osób należących do organizacji „Rzeczpospolita Polska Walcząca” – powiat Środa Śląska

Dokumenty

Trafiły do mnie dokumenty dotyczące nielegalnej organizacji „Rzeczpospolita Polska Walcząca” działającej na terenie Dolnego Śląska w latach 1949-1951

Komendantem i założycielem tej organizacji był Włodzimierz Pawłowski- żołnierz września 1939 roku. Kapitan i dowódca Batalionów Chłopskich na powiat sokalski. Przekonany o konflikcie Związku Radzieckiego z Zachodem założył organizację „Kresowiak” zmieniając później jej nazwę na „Rzeczpospolita Polska Walcząca” Organizacja była antykomunistyczna i miała na celu demokratyzację życia w Polsce oraz ewentualną pomoc zachodnim aliantom w przejściu władzy poprzez stworzenie warunków korzystnych dla takich zmian.

Niżej przedstawiam listę osób należących do tej organizacji na terenie powiatu średzkiego (Środa Śląska) oraz miejscowości z jakiej te osoby pochodziły i ewentualnie zajmowane stanowisko.

Ludzie ci są godni naszego szacunku, gdyż pragnęli zmiany ustroju i zrzucenia radzieckiego jarzma. Większość z nich otrzymała kary długoletniego więzienia. Sześć osób otrzymało karę śmierci a wykonano ją w stosunku do Pawłowskiego Włodzimierz i Radłowskiego Józefa.

Z dokumentów, które zostały mi udostępnione wypisałem wszystkie nazwiska członków organizacji „Rzeczpospolita Polska Walcząca”. Wypisuję nazwiska ze świadomością, że lista zawiera tylko niewielką część osób należących do organizacji. Z informacji o tej organizacji (wikipedia) wynika, że zwerbowanych było na Dolnym Śląsku około 450 ludzi. I choć wydaje się, że organizacja ta była z góry skaza na dekonspirację, to jednak ludzie wpisywali się do niej z pobudek patriotycznych i kierowali się dobrem Ojczyzny. Jeżeli chodzi o łukowian, to stanowili oni około 30 % członków tej organizacji w powiecie średzkim. Niżej przedstawiam częściową listę nazwisk, opracowaną na podstawie otrzymanych materiałów:

1. Hamkało Józef – zam. Kulin
2. Hamkało Bronisław- zam. Kulin
3. Bąk Bolesław – zam. Osiek
4. Mazur Stefan s. Piotra zam. Osiek
5. Bąk Stanisław – zam. Osiek
6. Anioł Mieczysław zam. Osiek komendant na powiat Środa Śląska
7. Anioł Władysław zam. Osiek
8. Tęcza Karol s. Józefa zam. Osiek
9. Kopacz Ignacy s. Józefa zam. Osiek
10. Pawlik Andrzej s. Józefa zam. Osiek
11. Klimas Józef s. Antoniego zam. Zastruże (łącznik)
12. Łysakowski Bogdan zam. Zastruże
13. Burdzy Józef s. Jana zam. Mieczków
14. Sudoł Franciszek - zam. Buków
15. Nieradka Edward s. Karola – zam. Zastruże, Kom. Placówki w gminie Kostomłoty
16. Jagoda Andrzej (komendant rejonowy R.P.W.)
17. Skrybant Michał zam. Mieczków

-
-
18. Woszek Władysław zam. Udanin, gm. kom placówki
 19. Pawłowski Włodzimierz – zam. Wrocław Komend Wojewódzki organizacji R.P.W.
 20. Urbańczyk Andrzej zam. Udanin (dowódca plutonu)
 21. Podulko Piotr zam. Kulin, dowódca plutonu
 22. Honc Czesław s. Jacentego zam. Kulin
 23. Haskało Michał zam. Kulin
 24. Cebula Franciszek zam. Lipnica, komendant na gminę Mrozów
 25. Bychowski Stanisław zam. Mrozów (komendant placówki)
 26. Łukawski Edward zam. Rzeszyca
 27. Bał Władysław zam. Lipnica
 28. Klimas Edward zam. Lipnica
 29. Sikorski Józef zam. Jastrzębce
 30. Kalita Kazimierz zam. Rzeszyca
 31. Dudek Stanisław zam. Lipnica
 32. Chabraszewski Jan zam. Brodno
 33. Homat Kazimierz zam. Zakrzewo
 34. Runka Józef zam. Udanin
 35. Tęcza Józef zam. Mieczków
 36. Marcjan Wojciech zam. Kulin
 37. Radłowski Józef zam. Mrozów
 38. Markowski Antoni
 39. Pazik Józef
 40. Gładysz Wojciech zam. Osiek
 41. Turek Franciszek
 42. Huszko Stefan
 43. Wanatowicz Karol zam. Kulin
 44. Smutek Kazimierz
 45. Małkiewicz Tadeusz
 46. Tęcza Stanisław zam. Osiek
 47. Burdzy Jan zam. Lipnica
 48. Grdeń Kazimierz zam. Lipnica
 49. Wilgosiewicz Feliks zam. Rakoszyce
 50. Smalec Marian
 51. Boczar Mieczysław
 52. Szyjka Michał
 53. Wójtowicz Ignacy zam. Gościław
 54. Baran Jan zam. Luśnia
 55. Świątkowski Wacław
 56. Juglot Eugeniusz zam. Zastruże
 57. Klasa Piotr zam. Konarzyce
 58. Cygan Jan zam. Lipnica
 59. Martka Franciszek zam. Mieczków
 60. Kulasa Paweł zam. Konary
 61. Hał Władysław
 62. Pawlik Ignacy zam. Surabodnice
 63. Pawlik Franciszek
 64. Pawlik Karol
- Burdzy Jr.

W poszukiwaniu Łukowian

odwiedziliśmy z panem Kazimierzem Furtakiem kilka miejscowości, w których ja nigdy wcześniej nie byłem, m. in. Lipnice, Słup, Łazany, Kruków, Komorów, Szczepanów. Ustaliliśmy też listę miejscowości, w których Łukowianie osiedlili się po wojnie i podzieliliśmy ją na dwie części. I-sza to miejscowości w których Łukowianie i tak zwani przybysze na Łukowiec stanowili większość mieszkańców i II-ga gdzie było ich mniej niż połowa. Tam gdzie była jedna czy dwie rodziny – takich miejscowości w ogóle nie braliśmy pod uwagę. Także miast w których osiedliło się po kilka, czy kilkanaście nawet rodzin – czasem w okresie późniejszym jak np. Lubin, gdzie dziś mieszka ponad 40 rodzin z tzw. rodowodem łukowieckim:

Augustyn (3), Burdzy (4), Wardach (2), Piechuta, Sobala, Pieniacki, Kuchta, Turbak (4), Bak, Paczkowski (2), Matkowski (2), Mamrot, Węglarz, Grocholska, Furtak (4), Gnojski (2), Górz (2), Szynalski, Lasota, Łajewscy (2), Rączka, Malec, Łuczyńska-Żak, Kowalczyk i inni

Miejscowości, gdzie Łukowianie stanowili większość:

Brunów	(60)
Szklary Dolne /Kolonja/	(20)
Pogorzelska	(30)
Stary Dwór	(30)
Wały Śląskie	(25)
Lipnica	(60)
Słup	(25-30)
Mieczków	(60)
Zabłoto	(35)
Osiek	(60)
Jenkowice	(25-30)
Wichrow	(30)

Miejscowości, gdzie Łukowianie stanowili mniejszość:

Jodłowice	(6)
Górzycza	(6)
Kostomłoty	(30-35)
Domaszków	(5)
Szczepanów	(5)
Rzeczyca	(5)
Grodzanów	(10)
Malczyce	(5)
Chomiąża	(5)
Krzelow	(7)
Zastróże	(5)
Łazany	(10)
Kruków	(5)
Żmigród i Żmigródek	(15)

około 50 rodzin w tzw. ostatnim transporcie osiedlonych na Pomorzu w okolicach Goleniowa
około 100 rodzin osiedlonych w miastach takich jak Wrocław, Świdnica, Środa Śląska, Żarów, Zielona Góra, Legnica, Szczecin, Gdańsk, Bydgoszcz, Brzeg Dolny, Wełów, Lubiąż, Nowogrodziec, Strzegom, Chocianów, itd.

Powyższy wykaz nie jest dokładny, jednak przy ustalaniu ilości rodzin zamieszkałych w poszczególnych miejscowościach podawane przeze mnie i pana Kazimierza Furtaka liczby były bardzo zbliżone. Wydaje się, że rażących błędów nie ma. Przedstawiamy ten wykaz jako wstępny i postaramy się go jeszcze przygotować w dokładniejszej wersji.

Kazimierz Furtak
Franciszek Burdzy